



J. H. ROSNY starszy,
z Akademii Goncourt'ów

LOT W NIESKOŃCZONOŚĆ

Przekład autoryzowany
HALINY KORSKIEJ



WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSE”
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11, Konto P. K. O. 11.149

WARUNKI PRENUMERATY:

łącznie z dodatkami dla młodzieży i magazynem *nłp*, z przesyłką pocztową kwartalnie (za 13 książek) *Zł. 9 gr. 95*,
a w oprawach „ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja biblioteki Groszowej i wszystkie urzędy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.

Znak 86 groszowego Wydawnictwa prawnie zarejestrowany inasubskrypcyjnie będą sędawnie icigane

Poliska Drukarnta w Białymstoku, Sp. Akc., ul. 5-go Rocha 5.

PRZEDMOWA

Wszystko już gotowe! Ściany „Stellarium”, wykonane z przekroplonego arginjum, doskonałej wprost przezroczystości, posiadają moc i sprężystość, o których tak niedawno jeszcze sądziliśmy, że są nie do urzeczywistnienia, a które dziś czynią nasz aparat praktycznie niezniszczalnym.

Pole grawitacyjne we wnętrzu aparatu zapewnić miało stałą równowagę ludziom i przedmiotom.

A więc rozporządzamy schronieniem, którego całkowita pojemność wynosi trzysta metrów sześciennych. Zapasów w naszych zbiornikach starczy na pewno, aby nas zaopatrzyć w tlen na przeciąg trzystu dni. Hermetyczny pancerz naszego statku pozwoli nam krążyć w atmosferze Marsa pod ciśnieniem ziemskim, a nasze oddychanie nie ulegnie żadnym zmianom dzięki obecności doskonałych powietrznych przetworników.

Zresztą aparaty „Siverol” pozwoliłyby nam nie oddychać w ciągu wielu godzin, działają one bowiem w sposób szczególnie na czerwone ciała krwi i mają znieczulający wpływ na płuca.

Wreszcie zapasy żywności, które są ściśnięte dzięki pewnym przyrządom do minimalnych rozmiarów, a którym zależnie od woli możemy przywracać ich objętość pierwotną, wystarczą w zupełności na przeciąg dziewięciu miesięcy.

Laboratorium na statku powietrznym podejmie się wszelkiego rodzaju analiz fizykalnych, chemicznych i biologicznych. Ponadto jesteśmy zaopatrzeni w najrozmaitsze przyrządy i aparaty. W ogóle możliwość

poruszania się, zachowania równowagi, normalnego oddychania i odżywienia, sztucznego spalania, wszystko to mamy zapewnione na przeszło trzy kwartały.

Licząc trzy miesiące na dotarcie do Marsa, trzy miesiące na drogę powrotną, zostaną jeszcze trzy miesiące, by zbadać dokładnie planetę. Oczywiście, rozpatrujemy wypadek najmniej szczęśliwy, gdyby nie było na Marsie żadnej możliwości oddychania i żadnego źródła pożywienia.

I

Dnia 8 -go kwietnia. Żeglujemy na statku powietrznym wśród wieczystej nocy. Jaskrawe promienie słońca raziłyby nas zbyt silnie poprzez ściany z arginjum, gdybyśmy nie mieli z sobą aparatów, które wedle naszej woli powstrzymują, rozpraszają lub oddalają światło słoneczne.

Życie upływa nam w tych martwych, zimnych przestworach monotennie, jak życie więźniów. Gwiazdy znaczą swą drogę jednostajnymi płomykami ognia. Całe nasze zajęcie — to drobne troski, rozmowy, czuwania. Już dawno określiliśmy dokładnie wszystko, co mają spełnić aparaty aż do chwili wylądowania. Ani jednej przeszkody! Nic nie mogło się zdarzyć, co by skłoniło nas do zmiany planów. Całe nasze życie podporządkowane jest ciągłej i monotonnej maszyneryj statku powietrznego. Mamy z sobą książki, instrumenty muzyczne, najrozmaitsze gry. Podnieca nas ciągle duch przygód, duch awanturniczej niezwykłości, budzi się w nas nadzieja nieogarniona przez oczekiwanie.

Cudowna szybkość, która nas porywa, graniczy z zupełnym unieruchomieniem. Cisza głęboka! Aparaty nasze, generatory, transformatory nie wydają najmniejszego szmeru. Zdaje mi się niemal, że słyszę drgania eteru. Nic więc nie zdradza łodzi powietrznej, rzuconej w międzygwiazdne pustkowia.

Dnia 21-go kwietnia. Dni niewypowiedziane jednostajne. Przeciągłe, nużące rozmowy. Mało chęci do czytania lub pracy.

Dnia 27-go kwietnia. Mój chronometr wskazuje godzinę siódmą minut trzydzieści trzy. Dopiero co zjedliśmy śniadanie: ekstrakt z kawy, chleb, cukier; wszystko to, naturalnie, musieliśmy „przywrócić” do pierwotnej objętości.

Mały naddatek tlenu dodał nam apetytu i dobrego humoru. Patrząc na mych dwóch towarzyszy z dziwnym jakimś uczuciem. Zgubiony w przestworzach nieskończoności, czuję się bliższy im niż rodzonym braciom.

Antoni Lougre był chyba zawsze od samego dzieciństwa nadzwyczajnie poważny, ale powaga jego nie jest bynajmniej smutna; pozwala na błyski radości, radości rozhasanego żrebaka. Głowa kańciasta, długa głowa skandynawska o włosach kędzierzawych i oczach zielonych. Cera barwy lekko opalanej fajki piankowej. Postawę ma wysoką, chód miękki. Wysłowienie jego, ściśle jak sama doktryna, odpowiada systematycznemu umysłowi tego człowieka.

Jan Gavial ma czerwoną, jak sierść lisa, czuprynę, oczy szaro-zielone, cerą — białą jak ser, usianą bladymi piegami; usta wesole i zmysłowe nadają całej twarzy jakieś radosne piętno. Jest to natura konkretna a zarazem artystyczna; nienawidzi on matematyki czystej i metafizyki. To niezwykle eksperymentator i jasnowidzący analityk, ale wróg zacięty rachunku

różniczkowego i całkowego. Najtrudniejsze obliczenie wykonywa w jednej chwili w pamięci; cyfry bowiem błyskają mu przed oczyma niby znaki fosforyzujące.

Ja, Jacques Laverande, kawaler Licorny, człowiek powolny, kryję charakter krajów mglistych pod powierzchownością południowca. Wydaje się, że moje czarne, jak smoła, włosy i broda wyrosły gdzieś w Maurytanji; cerę mam lekko brązową.

Powinowactwo szczególnego rodzaju utwierdziło w nas jeszcze od szkolnych czasów przyjaźni nieco może niedbałą, ale której ani czas, ani żadne przeszkody zmniejszyćby nie zdołały.

Po raz setny już mruczy Antoni:

— Kto wie, a nuż jedna tylko Ziemia wytworzyła na swym globie życie, a wtedy...

— Wtedy słońce, księżyc, planety byłyby istotnie jedynie dla niej stworzone—podrwiwał Jan.— Ot, palnąłeś głupstwo. Tam też jest życie!

— Życie jest i tu—mówię, wyciągając rękę ku ciemnej nocy,

Antoni uśmiecha się swym dziwnym, niewyraźnym uśmiechem.

— Tak, tak, wiem. Nieogarnione Współistnienie, ale czyż to można nazwać życiem?

— Jestem tego tak samo pewny, jak tego, że żyją.

--- A czy jest ono świadome, to życie?

— Nieświadome i świadome, zapewne. Wiesz dobrze, że wszystkie uświadomienia i nieuświadomienia są rzeczą względną. Istnieją takie świadomości, wobec których nasza — jest świadomością kraba.

— Za to porównanie jestem ci mocno obowiązany — rzeki Jan — od dzieciństwa kraba cenilem i zawsze podziwiałem...

— A jednak pięćdziesiąt wypraw na księżyc nic nam nie przyniosło—podjął znów Antoni—ani śladu życia...

— Być może, źle szukano, a może życia tamtejszego nie można porównywać z naszym.

— Jak to—powiedział Antoni z lekkim przekąśm w głosie – jak to nie można porównywać? Księżyc składa się dokładnie z tych samych pierwiastków, co i nasza ziemia. Rozwój jego był szybszy, ale bez wątpienia podobny do rozwoju Ziemi: mysz rośnie, żyje i umiera prędzej niż nosorożec... Był czas, kiedy księżyc, spowity w atmosferę z tlenu i azotu, posiadał morza, jeziora, rzeki... Czyi nie wiemy o tem z całą pewnością?

— Ależ to sięga wstecz setek miliardów lat. W ciągu tak długiego czasu świat kopalny tego rodzaju, co nasz, zostałby niechybnie unicestwiony.

— Szkielety z tego świata zniknęłyby, ale ślady jego pozostać by musiały. Zresztą próżne spory; rozwój Marsa bardziej chyba przypomina rozwój Ziemi.

— Któż temu przeczy?—odparł Antoni—z tego właśnie powodu tam dążę.

— Co opowiadasz! Dążysz tam, bo idea twoja jest ideą sportowca. Podoba ci się myśl, że to ty pierwszy wraz z nami wylądujesz na Marsie. I to jest właśnie dobre! Tak być powinno. Szczycimy się, że prowadzi nas duch przygód, jak niegdyś tych poczciwych ludzi na kruchych czółnach.

I znowu mijały dni, jeszcze dłuższe, jeszcze bardziej jednostajne w czarnych przepaściach odwiecznej tajemnicy. Otchłań!

Nie wiemy nic, nie wiemy, jaka rzeczywistość się w niej kryje, nie wiemy ani trochę więcej od tych, którzy wierzyli w nicość, i tych, którzy odkryli światy o czterech, pięciu, sześciu, n wymiarach, ani trochę

więcej od Eleatesa, Descartes'a, Leibniza, czy wreszcie naszego Arenaut—zdobywcy krain śródgwieźdza.

Pewnego ranka Antoni, który jest bardzo uważny, wyszeptał:

— Mars przestaje być gwiazdą.

Wśród zupełnej monotonji naszego życia uwaga Antoniego była pierwszym błyskiem Wydarzenia.

Odtąd, co rano biegliśmy czem prędzej zdać sobie sprawę z rozmiarów Marsa,

Jeszcze chwila, a zaostrzy się kontur planety, Golem okiem wygląda Mars jak malutki księżyc... nie księżyc, lecz księżeczek, który byłby zaledwie kropką w porównaniu z naszym satelitą. Kropka ta jest jednak doskonale kulista. Co trzy, cztery dni widzieliśmy wyraźnie, jak Mars przybiera. Oto średnica jego dosięga piątej części średnicy księżyca ziemskiego, a teraz wygląda, jak mały różowawy księżeczek.

— Zdaje mi się—mówi Jan, że to zegarek damski przy dużym chronometrze—księżycu ziemskim.

„Zegarek damski” staje się bliźniaczym bratem księżyca, podmalowanym delikatnie bladym szkarłatem. Rosnąc bezustannie, staje się wreszcie większy niż słońce; pod teleskopem rozróżniamy wyraźnie kontury powierzchni, łańcuchy górskie, płaszczyzny obszerne, powierzchnie gładkie, które mogły być zarówno wodą, jak i lodem, krainy białe, pokryte prawdopodobnie śniegiem.

Jest to olbrzymia kula, niby księżyc dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto razy większy niż nasz. Pod teleskopem jednak wygląda to ciało niebieskie mniej wspaniale. Zrazu podobny do dysku z polerowanej miedzi, blednie potem, staje się niemal matowy. Wkrótce tworzy się z niego jakby zlepek metalu i palonej glinki, w którym przeważa czerwień pośród wielobarwnych plam. A dwa księżyce Marsa pędzą nieustannie.

1-go czerwca. To już nie gwiazda! Mars stał się światem, odległym jeszcze, ale światem, na którym odróżnić można mgliste zarysy dalekich gór, płaszczyszyn, wielkich dolin, które bezustannie zmieniają swe kontury wskutek zawrotnej szybkości, z jaką mkniemy. Straszna godzina się zbliża! Jesteśmy zupełnie gotowi... Już od dłuższego czasu używamy hamulców „Stellarium”. Jan czuwa pilnie nad zmniejszaniem szybkości motorów, Za pomocą pola grawitacyjnego staramy się złagodzić zbyt gwałtowny spadek. Zegary nasze, mierzące czas i przestrzeń, wskazują dokładnie, jak długo trwa droga i jaką przebyliśmy odległość, Chodzi o to, żeby za wszelką cenę wylądować na Marsie z szybkością zerową. Jeżeli więc uda nam się zrównoważyć siły przeciwnie skierowane, t. j. przyciąganie Marsa i siłę, powstrzymującą aparat, to wylądowanie będzie zabawką; co najwyżej moglibyśmy się obawiać lekkiego wstrząsu, gdy będziemy w nieznacznej odległości od lądu Marsa; ale pewny jestem, że i tego unikniemy. Hamulce działają doskonale, szybkość jest nieznaczna, a im bardziej zbliżamy się do planety, tem mniej staje się ta szybkość wyczuwalna.

Lądujemy łagodnie, aparat nasz nie stawia już żadnego oporu przyciąganiu Marsa.

II

I oto blisko równika przestronna dolina wśród wysokich wzgórz. Nie spodziewamy się znaleźć tu wody. Lunety nasze nie ukazywały nam ani rzek, ani jezior, ani nawet żadnego bagna czy strumyka. Co

najwyżej, jakieś zwierciadlenie w okolicy biegunów, ale najwidoczniej panował tam ostry mróz, mróz trzaskający.

Postanowiliśmy więc wylądować tutaj, pozostawiając na później dalsze, łatwe zresztą, sprawdzenie; wystarczyłoby nam bowiem godziny na okrążenie planety.

— Czują zbytnią lekkość—mruczy Jan po chwili milczenia.

— I ja też — rzeki Antoni.

— I ja też — dorzuciłem — wydaje mi się, że przesadziłbym dziesięciometrowe mury.

--- Jako ten lew lub tygrys; ale to uczucie nie jest miłe; później się zresztą do tego przyzwyczaimy. Teraz zabierzmy się do badań.

Poprzez przezroczyście ściany badamy położenie, bądź golom okiem, bądź też za pomocą lunety. Sucha, twarda jak kamień gleba o brudno czerwonym odcieniu ścieliła się pod naszymi stopami.

— Zauważyłem — rzekł Antoni—że dolina, na której zatrzymaliśmy się, jest dalszym ciągiem gór i by zapewne mogłaby chłonać wodę za pośrednictwem sieci rowów: tem bardziej, że temperatura według mnie powinna tu prędzej sprzyjać istnieniu wody płynnej niż pod każdą inną szerokością geograficzną.

— Powinna! To prawda. Ale czy w rzeczywistości spodziewaliśmy się znaleźć tu wodę? Co najwyżej—parę wodną. W każdym razie, jeśli nie znajdziemy roślinności ani w tej strefie, ani też w innych okolicach, dogodniej jeszcze położonych, będziemy mogli twierdzić stanowczo, że Mars jest bardziej jałowy, niż nasze ziemskie pustynie.

Antoni przerwał nagle:

— Patrzcie, patrzcie!

Zwróciliśmy wzrok w stronę, którą nam ukazywał, i zauważyliśmy dziwne, szczególnego kształtu twory. Nie różniły się zupełnie barwą od czerwonego, a raczej czerwonego gruntu, uwidocznił je tylko kształt. Po paru chwilach naliczyliśmy ich ze cztery rodzaje:

Pierwszy był zaopatrzony jakby w zygzakowate rzemyki, przecinające się pod pewnym kątem; w każdym kącie było coś na kształt węzła. Twór ten leżał spłaszczony na ziemi. Szerokość rzemyków była dwa do trzech razy większa niż ich grubość, która wynosiła 2—3 cm.

Kształty drugiego gatunku tworzyły spirale, ale spirale te miały linje nieregularnie pofalowane, a każda miała duży węzeł pośrodku. I te również leżały spłaszczone na ziemi, znaczniejszą tylko grubością różniąc się od zygzakowatych istot. O ile się nie mylę, trzeci gatunek był złożoną odmianą pierwszego. Z dużego węzła wytryskał ku górze pęk linii zygzakowatych; wtórnych jednak węzłów nie było.

— Rzekłbyś, że to jakiś polip, płaski i wielki z gzygzakowatemi mackami—zauważył Jan.

— I bez oczu — dorzuciłem.

— Ale co to jest właściwie? — zastanawiał się Antoni—czy to jakie dziwadło świata nieorganicznego... czy też roślina... czy może jakiś dziwny rodzaj zwierząt nieruchomych, bo przecież nie widać żadnych ruchów.

— Żadnych — potwierdził Jan, zwracając obiektyw swej lunety na te dziwaczne twory. — Wiecie co, zbliźmy się ku nim.

Podeszliśmy; teraz mogliśmy się przekonać, że twory te były pokryte przezroczyście mi pęcherzykami, które tu i owdzie otaczała różnobarwna pleśń o karminowych błyskach

— Bądź co bądź, przypomina to raczej rośliny niż zwierzęta — wywnioskował Antoni.

Wniosek ten poparło wkrótce ukazanie się innych tworów gzygzakowatych o promienistych mackach w kształcie spirali. Niektóre z nich osiągały znaczną długość 5—10 metrów.

— Powalęsajmy się trochę po Marsie — zaproponował Antoni — i poszukajmy wody.

Puściliśmy maszynę w ruch bardzo powolny (niecałe 15 km, na godzinę) z częstymi przystankami, ale wody nic znaleźliśmy ani trochę.

Szybki lot ku stokom górskim nie dał też lepszych wyników. Naokół nic nie było, nic, prócz złomów skalnych, prócz smutku i pustki tej krainy planetarnej, tu i owdzie urozmaiconej dziwnymi kształtami rzekomych roślin, coraz rzadziej w okolicy górskiej spotykanych.

Opadając zwolna na ląd, zrobiliśmy ciekawe odkrycie. W tej części Marsa, gdzie było tyle rzekomych roślin, Jan ukazał nam jakieś dziwne poruszające się twory. Twory te były również płaskie, o barwie pomarańczowej w wielkie niebieskie i fioletowe plamy. Spozstrzegaliśmy, że miały one rzemykowate wypustki, nóżki czy też niby-nóżki. Ślizgały się raczej, niż chodziły.

To, co miało wyobrażać tułów, posiadało zarysy tak nieregularne, że na pierwszy rzut oka istoty te wydały nam się bezkształtnymi. W rzeczywistości widać było na mszystej ich powierzchni mnóstwo szczelin, zatok, wygięć i fałdów. W miarę, jak się zagłębiali w dolinę, rosła ilość tych dziwnych tworów o coraz to innych kształtach i coraz to innych odcieniach barw. Wszystko to jednak były te same istoty, a poznawaliśmy je dzięki ich mszystej, gąbczastej powierzchni i płaskiej budowie. Mogliśmy ich teraz nali-

czyć co najmniej dwanaście różnych gatunków. Dwie z pośród tych istot dosięgały wielkości 100 stóp, Nie sposób powiedzieć, czy miały one jakiegokolwiek narządy, czy miały kończyny i głowę, wszystkie natomiast wysuwały rzemykowato wypustki, które zastępowały im nogi,

— Wcale nie świetnie opierają się na tych rzemykowatych nogach, a głowa — to chyba to, co mają z przodu, kiedy się poruszają.

To, co jest z przodu, przypomina dokładnie grono jakichś mszystych czy gąbczastych owoców,

Jeśli to ma być głowa, to najwidoczniej składa się ona z oddzielnych, ale mocno spojonych cząstek. Nie widzę w nich nic, co by przypominało narządy zmysłów, nic, co by w przybliżeniu podobne było do oczu, uszu, nozdrzy lub wreszcie ust. Gdyby znaleźć choć jeden otwór gębowy wśród wszystkich wydrążeń, otwierających się w tym mchu czy też gąbce... Te z nich, które zatrzymują się przed rzekomymi roślinami, nie mają jakoś zamiaru ich połknąć...

— A wody jak niema, tak niema,

— Może i jest podziemna; chyba, że te istoty nie. używają jej wcale.

— Czas już najwyższy zbadać skład, ciśnienie i stopień wilgotności atmosfery Marsa.

Obarczono mnie tą pracą, udałem się więc do wąskiej celi, która mogła cię komunikować ze światem zewnętrznym. Wchodziło się tam przez galeryjkę, która, szczelnie zamknięta, uniemożliwiała wszelkie połączenie z atmosferą innych cel. Można więc było wprowadzić w zetknięcie z otoczeniem aparaty pomiarowe analityczne. Z kolei nastawiłem termobarometr i po chwili stwierdziłem, że ciśnienie dochodziło 9 cm. rtęci, termometr

zaś wskazywał 5,5* powyżej zera. Stopień wilgotności był słaby, zdradzał jednak wyraźnie obecność pary wodnej.

Gdy podzieliłem się temi wiadomościami z moimi przyjaciółmi, Antoni zawołał;—5,5 ° powyżej zera, powiadasz?!

--- 278,5* temperatury bezwzględnej!

— To niemożliwe, nie spodziewałem się, że będzie więcej niż 5°, naturalnie 5° poniżej zera... Nawet ciśnienie mnie dziwi. Co do pary wodnej, to się zgadza.

— Zgadza się, czy nie... możliwe, czy niemożliwe... jest tak, jak wam powiedziałem.

— A więc zagadka, nawet dwie zagadki...

— Dziesięć zagadek—zawołał Jan—a tajemnica ta tkwi prawdopodobnie w atmosferze Marsa, która ma większą, niż nasza, zdolność ograniczania utraty ciepła — a więc musimy zbadać tę atmosferę...

###

W pół godziny później zakończyliśmy pobieżną analizę powietrza. Stosunek tlenu do azotu był zadziwiający; tlen bowiem stanowił prawie dwie trzecie badanego gazu; jedna siódma przypadała na azot, ta sama mniej więcej ilość — na jakiś inny nieznaną gaz, który analiza widmowa umiejscowiła między azotem i węglem; jedną sześćdziesiątą całej ilości stanowił drugi nieznaną gaz, jedną dziesięciotysięczną—bezwodnik węglowy; prócz tego znaleźliśmy i inne różnorodne substancje w małych ilościach, niekiedy tylko ich ślady.

— Jesteśmy poniekąd u siebie w domu — powiedział Antoni, zupełnie już rozchmurzony.

— I na drodze do rozwiązania zagadki; założyłem się, że właśnie te nieznanne gazy powstrzymują promieniowanie Marsa.

— No zobaczymy... Tymczasem dosyć jest tu tlenu, abyśmy mogli latać, przy pomocy kondensatorów, nie oszczędzając powietrza, i wciąż odnawiać zapasy Stellarium.

— A może tak dokonamy pierwszej pieszej wycieczki?

— Wieczór się zbliża — sprzeciwił się Antoni.— Bezwątpienia, z łatwością moglibyśmy dotrzeć do sfer oświetlonych, ale ciekaw jestem, jak wygląda noc na Marsie.

W rozrzedzonym powietrzu zapadający zmierzch powinien być jeszcze krótszy niż w krainach podzwrotnikowych naszej ziemi.

Wdali na zachodzie lampa słoneczna zwolna się staczała; na chwilę zawisała między dwiema górami, a zaledwie zniknęła, gwiazdy rozbłysły na nieźrównanie czystym niebie. Widok ten był podobny do tego, który oglądaliśmy co dzień przez cały czas podróży, ale tu, na tym lądzie odległym, wywował wybuch poezji u Jana, napływ porównań i przenośni i, zdaje mi się, nawet jakieś ulotne wiersze.

Już mieliśmy zapalić światło w aparacie, gdy nagle oczy nasze uderzyło niezwykle zjawisko.

Ze wszystkich stron, dokądkolwiek sięgał wzrok, widać było błyszczące sieci fosforescencji—losforescencji tak bladej, że blask jej nie przyćmiewał blasku gwiazd, a która mieniła się tysiącem cudnych barw.

Sieci te tworzyły świetlne kolumny—poziome, pionowe, skośne, tu i tam krzyżujące się z sobą, lśniące barwami od żółtej do ciemno-fioletowej. Wśród nich krążyły świetlne istoty najrozmaitszych

odcieni, utworzone z włókienek, dziwnie posplatających. Twory te błyszcząły silniej niż kolumny, ale tak, jak i tamte, nic przesłaniały blasku gwiazd.

— Natężenie świetlne prawie taicie samo, jak Drogi Mlecznej — zauważył Antoni.

W każdym razie Drogę Mleczną widać było gorzej poprzez kolumny fosforyzujące, niż poprzez liczne oczka sieci między kolumnami.

Po pewnym czasie przekonaliśmy się, że te dziwne istoty krążyły ze zmienną szybkością, to przyśpieszając, to zwalniając biegu; czasami przystawały lub też cofały się w tył. Wydawało nam się, że się wwiercają w kolumny fosforyzujące.

Mogły one najwidoczniej osiągnąć ogromną szybkość. Niektóre przebiegały dwanaście kilometrów na minutę; twory fioletowe pędziły najszybciej.

— Czy też „to” żyje? — wyszeptał Jan.

— Wątpię bardzo—odparł Antoni—ale wszystko jest możliwe.

Niekiedy twory te porzucały kolumny i pogrążały się w otchłani nocy, gdzie zwalniały swój pęd i gdzie lot ich stawał się bardziej kapryśny.

— Wszystko to dziwnie przypomina życie — podjął Jan — ale nie śmiem wierzyć...

— Wierzyć—to bezcelowe... Ograniczmy się lepiej do tego, by zdać sobie sprawę z rzeczywistości i możliwości. Być może, to żyje, a więc... jakaż zagadka?...

— Życie eteryczne, życie mgławicowe?...

— W każdym razie zależy ono ściśle od planety, ponieważ nie widzieliśmy nic podobnego w przestworach międzyplanetarnych. I nie ulega wątpliwości, że bierze w niem udział zarówno Eter, jak i Mgławica.

Oglądaliśmy teraz owo dziwne zjawisko przy pomocy lunet i spostrzegliśmy, że fosforescen-

cja kolumn nie ulegała żadnym zmianom, gdy tymczasem jaśnienie tworów ruchomych zmieniało się tak harmonijnie, że możnaby mówić o symfonji świetlnej.

Nagle nowy, szczególny widok uderzył nasze oczy, bo oto, gdy kilka kolumn zawadziło o „Stellarium”, fosforescencja zagasła u ściany aparatu, z którą się zderzyła, a rozbłysła na ścianie przeciwległej. Po szczególne, jakby przerwane kolumny łączyły się z sobą za pomocą słupów mniejszych, otaczających dookoła „Stellarium”. Wobec tego, że wszystkie kolumny były przeważnie proste albo tak lekko wygięte, że widać tego nic, było, musieliśmy przyjąć, że te połączenia nastąpiły dopiero po naszym przybyciu. Aby sprawdzić to przypuszczenie, puściliśmy w ruch „Stellarium” i przerwaliśmy kilka kolumn; to z nich, które pozostały za nami, odtwarzały się ogromnie szybko, te zaś, które stykały się z naszym aparatem, dopiero po pewnym czasie łączyły się za pomocą bocznych słupów.

Gdyśmy przerywali twory żywe(?), to natychmiast spadały one w czarną otchłań; niektóre tylko docierały do kolumn, bądź też do odcinków kolumn nadwierzonych.

— Fantasmagoryczne!—zamruczał Antoni—jeśli to nie są ustroje żywe, to na pewno nie przypominają one naszych meteorów, a już zupełnie nie są podobne do ciał stałych lub płynnych świata nieorganicznego!

— Jestem niezachwianie pewny, że to życie — oznajmił Jan. — Wiecie, co myślę; że mieszkańcy Marsa, z którymi spodziewaliśmy się dojść do porozumienia, prawdopodobnie zamyślają jakieś plany, które nie pozwolą na jakąkolwiek wymianę myśli.

— A choćby nawet?—przerwałem.— Po pierwsze istnieją tu, być może, jeszcze i inne postacie; a zresztą skąd można wiedzieć, jakie się w tych oto tworach kryją możliwości. Dlaczegoż to między nimi a nami nie może zachodzić podobieństwo nawet bardzo bliskie? Już jeśli żyją...

Antoni przerwał mi nagle:

— Marzyć będziemy później; teraz chciałbym ustalić, o ile to możliwe, pewne granice obserwacji.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu—odparłem. — Ja obserwuję w dalszym ciągu i, wciąż patrząc, pytam sam siebie: czy budowa Marsa nie jest czasem bardziej złożona niż budowa Ziemi w szerszeni znaczeniu tego słowa. Czy niema tu na Marsie jakiegoś trzeciego świata prócz świata organicznego i nieorganicznego.

— Sądziłbym, że tak jest, lecz jak mówisz, oto zarysowuje się pewien podział; chwilowo jednak zupełnie ogólnikowy; zauważyliście chyba, że twory te posiadają niektóre części bledsze, co tworzy w nich jakby rodzaj wodniczek; a więc widzę, że ruchy stają się tem szybsze i tem doskonalszą jest zmiana tych ruchów, im więcej w nich jest wodniczek. Porównajcie, na przykład, te, które mają pięć do sześciu, z temi, które zawierają tylko jedną lub dwie; naprawdę, różnica jest uderzająca.

Była to zupełnie słuszna uwaga. Istoty o licznych wodniczkach podążały z szybkością trzystu do siedmiuset kilometrów na godzinę, twory zaś, zawierające jedną lub dwie wodniczki, osiągały zaledwie połowę tej szybkości.

Tu i owdzie niektóry z tworów zatrzymywały się. Widzieliśmy wtedy wyraźnie, że cieniutkie promienie łączyły istoty o tej samej ilości wodniczek. Natężenie tych dziwnych promieni nie było stałe... widać było,

że rośnie ono i maleje bez jakiegokolwiek rytmu... Z chwilą, gdy twory to puszczały się znowu w drogę, promienie natychmiast się przerywały.

— Wiecie co! — zawołał Antoni z ożywieniem. — Zmienność natężenia promieni jest wyrazem porozumiewania się wzajemnego tych istot... jest to prawdopodobnie ich język, w którym nieskończenie małe drgania zastępują analogiczne fale dźwiękowe.

— A więc — rzekł Jan—nie wątpisz już o życiu tych istot, tak różnych od wszystkiego tego, o czym marzyli najbardziej marzycielscy z pośród wszystkich naszych mędrców i artystów.

Spoglądaliśmy jeszcze czas pewien na to dziwne widowisko, nie odkrywając jednak nic więcej ponad to, cośmy już widzieli; zapaliliśmy więc światło, i twory przestały być widoczne. Poczem spożyliśmy wieczerzę.

— Jeżeli wszystko nadal odbywać się tak będzie, jak i dzisiaj, to ujrzymy oznaki życia tych istot jedynie w nocy.

III

— Cóż będziemy teraz robić?—zapytał Jan, gdyśmy spożyli wieczerzę.

— Jeżeli chodzi o moje zdanie, to chciałbym dotrzeć do stref, gdzie panuje dzień...

— Czy sądzisz, że tam znajdziemy ustroje bardziej do nas zbliżone?

— Tak... Tem bardziej, że te istoty, któreśmy widzieli za dnia, były bardziej do nas podobne, niż twory świetlne.—A gdybyśmy tak naj-

pierw zbadali bardziej dokładnie atmosferę? — rzekł Antoni.

Zabraliśmy się do analizy nieznanych gazów; jeden z nich był pokrewny i azotowi, i węglowi. Drugi—składał się z tlenu i z pierwiastku, podobnego do boru. Ciężar atomowy*), pierwszego z tych ciał, któreśmy nazwali carbonitrum, wynosił około 13,4. Ciężar zaś drugiego, ochrzczonego borenem, sięgał w przybliżeniu 10. Co do gazu złożonego, tlenku borenu(?), to gęstość jego była mniejsza niż bezwodnika węglowego.

Jak już wyżej nadmienilem, stosunek tlenu do innych gazów był zadziwiający.

— Obecność azotu i dwutlenku węgla pozwala tu, na Marsie, na istnienie ustrojów, złożonych z węgla, azotu, wodoru i tlenu, zupełnie, jak na ziemi — zauważył Antoni.

— Zaciekawia mnie bardzo, jaką rolę w atmosferze odgrywa, carbonitrum, boren i tlenek borenu — powiedziałem. — Czy nie można przyjąć, że istnieją tu dwa odrębnie rozwijające się światy; są tu w porównaniu z naszą planetą jakby dwie atmosfery, Pierwsza — atmosfera tlenu, azotu, dwutlenku węgla; druga — tlenu, carbonitrum i tlenku borenu.

— Aha, więc łączysz tlen z obydwoma grupami?

— Na temby właśnie polegała istotna, głęboka odrębność Marsa.

— Czy jesteście zmęczeni?—spytał Jan.—Jeżeli nie, to może dotrzemy do okolic bardziej oświetlonych...

**) Oczywiście, przeliczony na ciężar ziemski.*

— Chronometr mój wskazuje godzinę spoczynku— odpowiedział Antoni—a ponieważ nic nas nie nagli, więc rzućmy jeszcze raz okiem na istoty powietrzne, a wycieczkę odłożmy na jutro, po wypoczynku. Najlepiej postępować w pewnym określonym porządku...

Ponieważ Jan nie miał żadnej istotnej przyczyny, by nalegać, więc uległ. Jeszcze przez pół godziny obserwowaliśmy uważnie twory powietrzne, dzięki temu przeprowadziliśmy lepszy ich podział i upewniliśmy się w przypuszczeniu, że istoty te wykazują objawy życia, objawy bardziej jednak nieuchwytnie, niż najbardziej nieuchwytnie objawy na ziemi.

Poczem pogrążyliśmy się w nieświadomości, która trwała aż do świtania marsyjskiego. Świt zajaśniał po tej samej ilości godzin, co „tam”, na Ziemi, pod tą samą szerokością geograficzną.

Gdy się ocknałem, Jan przygotowywał właśnie kawę poranną, której aromat dwa razy dziennie był przedmiotem moich marzeń. Ciepły chleb, „przywrócony” do pierwotnej objętości, był tak świeży, jakbyśmy go dopiero co wyjęli z pieca, W połączeniu z witaminami, cukrem kondensowanym i masłem był on doskonałym pożywieniem.

Jan — kucharz z powołania—podał nam kawę, przygotowaną bez zarzutu, i smaczne kromki chleba.

— Na rany Boskie—zawołał Antoni, który był największym łakomczuchem z nas wszystkich—weźmy się no do tego śniadanka...

— I co tu mówić, że jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami my, którzy spokojnie pijemy kawę na drugiej planecie.

— Uważam za bardziej jeszcze dziwne, żeśmy ją pili w przestworach międzyplanetarnych—rzekłem.—

Tutaj, bądź co bądź, jestem na święcie, podobnym do naszego.

— Zagarniamy mieszkanie sąsiadów, tylko, jak dotąd, wydaje się ono mało wykwintne. Przygotujmy wszystko do wycieczki.

— Tak, tak, ale najpierw poradzimy się ptaków. Zabraliśmy z sobą sześć ptaków: dwa wróble, ziębę, trzy kanarki; wszystkie te niski cieszyły się podczas podróży najlepszym zdrowiem.

Antoni wziął w ręce klatkę z ziębą, zaniósł ją do celi, komunikującej się ze światem zewnętrznym. W celi tej pompka ssąco-tłocząca miała zagęszczać powietrze marsyjskie. Po skończonem śniadaniu ubraliśmy się i weszliśmy do celi; okazało się, że zięba nic doznała najmniejszej szkody.

— Można się było tego spodziewać — rzekł Jan.

— No tak, prawie, ale wpływ carbonitrum i tlenku borenu mógł być szkodliwy... widocznie tak nie jest... w każdym razie nie należy zaniedbywać pewnych środków ostrożności.

W dziesięć minut później, zaopatrzeni w respiratory, kondensatory, broń i narzędzia, zstąpiliśmy na glebę planety; kroczyliśmy tu tak lekko, jakby potroiły się nam siły, a dzięki respiratorom oddychaliśmy bez trudu.

— Zezwólcie na małą chwilę zachwytu! — zawołał Jan, potrząsając ciupagą.

Okrzyk jego wywarł na nas szczególnie miłe wrażenie... Pewni byliśmy, że w tej rozrzedzonej atmosferze będziemy mogli mówić i słyszeć jedynie z wielkim trudem, a oto z jakiegoś zaiste tajemniczego powodu atmosfera dość dobrze przewodziła dźwięki.

— Czyżby obecność carbonitrum i tlenku borenu? — podsunął Antoni.

Powietrze było doskonale przezroczyste. Mnóstwo istot przewijało się przed naszymi oczami.

Jedne --- nieruchome, podobne były do naszych roślin; inne poruszały się, jak zwierzęta ziemskie.

Te istoty krały tu i ówdzie to wolno, to prędko, najzwagsze, jak węże, inne znów wolno, jak nasze ślimaki. Żaden z tych tworów nie był ściśle symetryczny ani nawet nie przypominał naszych rozgwiazd.

— Przede wszystkim, ileż one mają łap, jeśli te rzemyki, wciąż się zmieniające, są łapami?

— W każdym razie, zdaje się, że zastępują one łapy.

— Te istoty zwierzkształtne posługują się niemi podczas ruchu, a ich ślizganie wygląda jak pełzanie.

— Jedna, dwie... trzy... cztery, osiem łap. Miałyżby one osiem łap?

— Tak, chyba... ale ... oto ukazuje się dziewiąta, tylko widać ją w pewnych odstępach czasu.

Ruchy wypustek były dziwaczne; to falujące, to gzygzakowate, to znów spiralnie wygięte. Te niby - nóżki zmieniały co chwila swój wygląd.

— Trzebaby wywrócić kilka z nich—rzekłem-- jeśli to tylko możliwe.

— Chodźmy ku nim — odparł Jan, zbliżając się do tworu wielkości szczura, który poruszał się powoli.

Celnym ruchom ciupagi udało mu się przewrócić ową istotę, która się otoczyła tymczasem osłonką fluorującą. Osłonka ta po chwili zagasła. Twór ów poruszał żywo wypustkami, usiłując przybrać swą dawną postawę.

— Ciekawa jest ta fluorescencja — zamruczał Antoni.

— Mają dziewięć nówek — oznajmił Jan.

— Tak, tak jest!

Patrzcie, wypustki umocowane są po trzy... a każda taka trójka wypustek tworzy jakby lekki luk...

— Tak, to prawda, i by może, że jest to bardzo znamienne.

— Wybitnie nawet znamienne, gdyż...

Antoni przerwał, wahając się chwilę. Zanim znów zaczął mówić, dokonaliśmy tegoż samego spostrzeżenia, co i on. Trzy szeregi wypustek oddzielone były za pomocą dwóch bardzo wyraźnych bródz, co odgraniczało jakby trzy strefy.

— Ledwie śmiem przypuścić — rzekł Antonistoty te, które wyraźnie nie są ani promieniste, ani dwustronnie symetryczne, są zapewne „troiste”.

— Sprawdźmy lepiej...

I Jan wyrócił znowu dwa inne twory różnej wielkości i kształtu. Tak samo, jak twór pierwszy, otoczyły się one osłonka fluoryzującą i pokazały nam dwie brózdki i dziewięć wypustek, umieszczonych po trzy.

— Wszystkie są trójsymetryczne... Jakgdyby dwusymetria, która wszechwładnie panuje wśród większości gatunków na Ziemi, zastąpiona tu została przez troistość.

— A może to tylko twory niższe?

Śledziliśmy w dalszym ciągu twory ruchome.

Widocznie były świadome naszej obecności, gdyż ukrywały się, skorośmy tylko próbowali się ku nim zbliżyć.

Wreszcie udało nam się wpędzić w jakiś zakręt jedną z tych dziwnych zwierzkształtnych istot dość znacznej wielkości. Jan już był zabrał się do przewrócenia zwierzęcia: zajaśniała szeroka fioletowa otoczka. Jan rzucił swój kij, wydając okrzyk zdziwienia.

— A, do diabła!—zawołał, oglądając się uważnie.

A gdyśmy nań patrzyli z niepokojem, dodał:

— Rany nie widzę, nic co za dziwne uczucie: dotkliwy mróz, jak gdyby zgrzytanie, przejmujące do szpiku kości! Czegoś podobnego nie doznałem jeszcze nigdy w życiu! W każdym razie zwierzęta te, jeśli je w ogóle można nazwać zwierzętami, umieją się bronić. Już kiedy przewracałem pierwszą, doznałem podobnego wstrząsu, ale był widocznie zbyt słaby... Już przedtem myślałem, że tej fluorescencji nie można zaniedbywać!

Podbiegliśmy ku naszemu przyjacielowi, ale zarazem odsłoniliśmy drogę, i zwierzę marsyjskie umknęło.

— Przygoda ta mogła przybrać gorszy obrót—rzekłem. — Otoczka olbrzymów jest chyba śmiertelna...

— Co najmniej bardzo niebezpieczna. Jak te stworzenia są zbudowane? Z czego? Jeżeli z węgla, azotu, wodorodu i tlenu... to życie ich może być podobne do życia ziemskiego... Ale jeżeli zbudowane są z innych pierwiastków, to różnica może być znaczna.

— Analiza chemiczna będzie względnie łatwa, ale badanie narządów może być straszliwie złożone.

— Zaczynamy od początku — zakończył Jan, chwytając stworzenie małych rozmiarów.

Podążyliśmy ku „Stellarium”, które stało mniej więcej w odległości 500 m. od nas.

Antoni pogrążony był w zamyśleniu;

— Czyżby tu istniały twory, które by mogły napisać na „to” — wyszeptał, skorośmy tylko stanęli przed aparatem.

— W każdym razie żadne z tych, któreśmy widzieli—zapewniał Jan.

— Wyobraźcie sobie jednak olbrzymy, któreby można porównać z dawnym ichtjozaurem lub z naszym wielorybem. Czy ich olbrzymia otoczka nie działałaby na nasze ściany druzgocąco... lub po prostu, czy nie promieniowałaby z niej poprzez ściany jakaś zabójcza dla nas energia,

— Ostatecznie mamy im czym odpowiedzieć... zapomocą choćby promieni albo środków wybuchowych,

— Tak, ale... niespodzianki najrozmaitsze?

W chwili, gdy Antoni to mówił, Jan podskoczył i wyciągnął rękę w stronę marsyjskiego wschodu.

Przypuszczenie Antoniego okazało się straszliwą rzeczywistością.

W odległości trzystu metrów ukazał się właśnie twór straszny, olbrzymi, którego rozmiary można było porównać z ogromem iguanodonta lub lewjatana biblijnego. Spłoszczony, jak wszystkie pokrewne mu istoty, unosił się ponad ziemią zaledwie na trzy stopy wysoko... ze względu na swe wielkie rozmiary.

— Około czterdziestu metrów długości, piętnastu metrów szerokości — wyszeptałem,

— Wchodzić!—krzyknął Antoni, widocznie przeżony tym widokiem,

Pod ochroną „Steliarium” oglądaliśmy uważnie potwora za pomocą długich lunet,

— Czy nie byłoby roztropniej wznieść się nieco w górę?—napomknąłem.

— Zaczekajmy—odparł Antoni.

Olbrzym trwał w bezruchu, mieliśmy więc dosyć czasu, by szczegółowo zbadać jego kształty, a właściwie, jak mówił Jan, jego bezkształtne kształty. Wydał nam się poza paroma szczegółami zupełnie podobny

do innych istot tegoż samego rodzaju, ale obroni postaci nadawał tej istocie zwierzokształtnej wygląd jeszcze ohydniejszy.

— Że też nic umiemy jeszcze odróżniać tych tworowi

„Zwierz" (?) począł wolno sunąć hu nam, zatrzymał się u „Stellarium", i mieliśmy wszyscy dziwne wrażenie — zapewne złudne — że się zawahał na chwilę. Natychmiast się jednak oddalił z szybkością wprost niezwykłą.

— Ze sto na godzinę!—zauważył Jan.

— Wypustki jego drgają, ale zdaje mi się, że ani nie biega, ani leż nic pełza... Gdyby nie dotykał gruntu, powiedziałbym, że lata.

— Kto wie, czy nic posługuje się on ruchem, pośrednim między lataniem a ślizganiem... Zresztą, zobaczymy, a teraz do pracy!—rzekł Antoni.

Pracę podzieliliśmy pomiędzy siebie: mnie przypadło w udziale sekowanie; Antoni i Jan pobrali nieco substancji do analizy chemicznej, spektroskopowej i radiograficznej...

Ustrój istoty zwierzokształtnej był „suchy". To znaczy, cechował ją zupełny brak płynu, tylko gazy i ciała stałe nieporównanej wprost sprężystości. Ciała te, poddane nadzwyczajnie silnemu ciśnieniu lub rozciąganiu, ulegały znacznemu spłaszczeniu i wydłużeniu, z chwilą jednak, gdy zaprzestawaliśmy doświadczenia, odzyskiwały swój pierwotny, niczem nienaruszony kształt...

Ogromnie trudno było rozerwać lub pokrajać te porowate istoty. Wnętrze ciała przypominało spłaszczoną powierzchnię tworowi, na której widać było mnóstwo wodniczek, nie znaleźliśmy jednak nic podobnego do narządów...

Szukałem i badałem wciąż po omacku, przeważnie nadaremnie, a tymczasem towarzysze moi poczynili cały szereg olśniewająco ciekawych odkryć. Analiza wykazała nieznaczne ilości azotu, węgla i wodoru. Istotę jednak tkanek ustroju stanowił tlen, carbonitrum i tlenek borenu z małą domieszką kobaltu, manganu, arsenu, krzemu, wapnia i fosforu; prócz tego odkryli oni jeszcze i ślady różnych substancyj znanych i nieznanych.

— Te szelmy tworzą królestwo zupełnie od naszego różne!—oświadczył Jan.

Antoni przytaknął skinieniem głowy, z kolei ja rzekłem:

— Różnica jest według mnie tem bardziej uderzająca, że brak w tych istotach jakiegokolwiek płynu... Przypuszczam więc, że krążenie w ustroju jest tu gazowe,

— Można by też sobie wyobrazić krążenie ciał stałych... na kształt cząstek ruchomych w przestrzeniach międzyatomowych.

W każdym razie pierwsze badanie anatomiczne nie dało żadnych rezultatów.

— Jesteś przecież prawdziwym mistrzem histologii—rzekł Antoni uprzejmie, a więc wnioskuje, że zagadka musi być naprawdę głęboka!

— Cóż teraz będziemy robić?

— Przede wszystkim chodzi mi o zbadanie powierzchni Marsa... Odwiedzmyż inne okolice...

— Znowu!—krzyknął nagle Jan.

— Co znowu?

— Znowu olbrzym... patrz, większy nawet niż poprzedni.

Obróciliśmy się i nagle ujrzeliśmy potwora, który miał chyba co najmniej 50 metrów długości. Sunął wprost na „Stellarium”.

— Wznieśmy się — rzekłem.

Ogarnięty palącą ciekawością, Antoni, nie ruszając się z miejsca, położył mi rękę na ramieniu, a Jan, jak gdyby zapatrzony w głowę Meduzy, zdawał się nic a nic nie słyszeć. Olbrzymi twór zbliżał się do naszego przezroczystego schronienia.

Widocznie doskonale wiedziało jego obecności, gdyż zatrzymał się, jak tylko ciało jego dotknęło aparatu.

Olbrzymia otoczka... i uczułem się nagle zmrożony do szpiku kości; Antoni, zsiniały, szczekał zębami; Jan, wodząc dookoła błędnym spojrzeniem, stał oparty o ścianę...

I znów błysnęła druga otoczka, słabsza niż poprzednia, która nas bardziej jeszcze zmroziła; jednocześnie zaś ogarniało nas jakieś niewypowiedziane uczucie, przejmujące nieopanowanym dreszczem, uczucie, niepodobne do żadnego innego; przesywało ono pierś i, zdawało się, zatrzyma bicie serca...

Jak długo trwała ta straszliwa męczarnia (bo zaiste, była to męczarnia) — tego nie wiem. Być może trzydzieści sekund, być może kilka minut.

Gdyśmy w zupełności odzyskali władzę nad naszymi zmysłami, olbrzym już zniknął,

Antoni pierwszy odzyskał energię i świadomość.

— Wymknęliśmy się pewnej śmierci—rzekł głosem, nic zdradzającym najmniejszego wzruszenia.— Gdybyśmy nie byli pod schronieniem „Stellarium”, pogrążylibyśmy się w wiecznej nocy.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie powiedzieć z odcieniem wyrzutu:

— A trzeba było mnie słuchać,

— Popełniliśmy błąd, wielki błąd... ja zwłaszcza, gdyż uległem złej ciekawości, Mea culpa, a jed-

nak dobrą jest rzeczą wiedzieć. Nie narazimy się już tej nocy na tak wielkie niebezpieczeństwo, na jakie nieświadomie wystawiliśmy się nocy zeszłej. Wystarczyłoby, gdyby dwa lub trzy takie potwory złączyły się razem, by nas unicestwić podczas snu, a żadne ściany nie mogłyby temu zapobiec.

— Jeżeli w ogóle działają one nocą!— zauważył Jan.

— Druga otoczka była o wiele mniej mocna, niż pierwsza — podjął Antoni—dowodzi to, zdaje

mi się, że ich promieniowanie wymaga dużego nakładu energii.

— Ciekaw jestem, czy ten nieokrzesaniec świadomy był tego, co robił? — wymruczał Jan.— Czy też działał pod wpływem pewnej podniety fizycznej, wywołanej obecnością niezwykłych przedmiotów.

— Albo też istot niezwykłych — dodałem.

— Podnieta?... poprzez ścianę... ścianę tak całkowicie nieprzenikliwą?...

— Wobec tego jednak, te widać nas zupełnie wyraźnie poprzez te przezroczyste jak atmosfera ściany, czy nie można przypuścić, że istnieje u tych istot zmysł odczuwania, analogiczny do naszego zmysłu wzroku?

— Mówisz zupełnie słusznie — rzekł Antoni.—

Niema powodów, aby „im” odmawiać zmysłów, wrażliwych na drgania o falach niezmiernie małych.

Tak rozprawiając, wznieśliśmy się na „Stellarium” i za pomocą kompensatora grawitacyjnego utrzymywaliśmy się w odległości 50 metrów od ładu marsyjskiego.

— Myślę, że tutaj otoczka już nam zaszkodzić nie może, promieniowanie jej podlega chyba prawu o kwadracie odległości—rzekł Jan, nieco się

przekomarzając, gdyż Antoni miał ponury wyraz twarzy.

— I ja tak również przypuszczam, chociaż— kto wie... a nuż te gbury potrafią zogniskować promieniowanie, a wtedy... żegnaj mi, prawo o kwadracie odległości!...

— Bądź co bądź, bardzo możliwe, że będą stanowiły poważną przeszkodę w naszych wyprawach.

— Sądysz tak? a nasze aparaty promieniotwórcze i drętwiki? Zresztą, zwykła wiązka promieni, odpowiednio dobranych, wystarczyłaby bez wątpienia do utrzymania napastników w należytej odległości.

— Wątpliwe, ale nic nie zaszkodzi spróbować!— rzeki Antoni.

Jako przedmiot badań wybraliśmy twór zwierzkształtny średnich rozmiarów, na który skierowaliśmy ukośnie promienie o rozmaitej częstości drgań, zwiększając stopniowo ich natężenie. Okazało się wkrótce, że twór zachowywał się obojętnie, gdyśmy nań rzucali wiązkę fal długich; nieczuły był również na widzialne fale widma i na najkrótsze fale nadfioletowe. Dopiero po zastosowaniu fal Ramieresa począł okazywać pewne ożywienie, a gdyśmy doszli do fal Busseaulta, twór oddalił się ze zwiększoną szybkością w kierunku przeciwnym do padania promieni...

Staliśmy promienie jeszcze chwil parę, poczem napadliśmy na drugi, trzeci i czwarty twór zwierzkształtny z tym samym wynikiem...

— W zasadzie powiodło nam się!— rzekłem.— Nie będę jednak pewny, aż potwierdzimy nasze wyniki na jakimś olbrzymie... Jeżeli się nie mylę, oto jeden z nich...

Olbrzym unosił się właśnie nad złomem skalnym. Był, on dość daleko... zbliżyliśmy się ku niemu i skierowaliśmy na niego promienie Busseaulta.

Z początku okazywał niejaki wahanie, sunał jednak dalej, prawie że na linii promieni...

— Zwiększmy częstość drgań.

Wynik był natychmiastowy, istota zwierzkształtna zatrzymała się, poczem się cofnęła...

W ten sposób, miarkując odpowiednio częstość drgań i ustawiając „Stellarium” na różnych poziomach, mogliśmy się byli upewnić, że nie popełniliśmy żadnego błędu przy stosowaniu promieni...

— No, no—zawołał wesoło Antoni -- ale takim kosztem jesteśmy panami położenia, bo przecież energia, której użyliśmy, była bardzo słaba! Wyznaję, że już byłem zniechęcony, a nawet przestraszony! Nie dlatego, żebym wątpił o naszych środkach obronnych, ale obawiałem się zbyt wielkiego nakładu energii... a wtedy zaprawdę...

— Jeszcze będą różne niebezpieczeństwa.

— Cicho, ty Jeremiaszu! Nie bój się, pokonamy je... A teraz w drogę w inne strony!

Postanowiliśmy, że aparat będzie się wolno poruszał, abyśmy nic z ciekawych widoków nie przepuścili, krążyliśmy więc w ten sposób, żeby zdobyć większe pole obserwacji...

W ciągu półtorej godziny przebyliśmy wszystkiego sto kilometrów, lecąc równolegle do równika i opisując tu i owdzie wielkie spirale. Mijaliśmy okolice pustynne, za którymi ciągnęły się krainy, pełne, istot zwierzkształtnych, Jan, ciągle niecierpliwych nowych odkryć, zaproponował „rajd” ze zwiększoną szybkością.

— Później będziemy mogli wrócić do tego złotwiegogo kroku.

— A teraz pęd w linii prostej?

— Ech, nie! Lepiej urządzajmy wycieczki na prawo i lewo od wyznaczonej drogi.

„Stellarium” pomknęło z szybkością, dochodzącą do tysiąca kilometrów na godzinę. Tu i owdzie zatrzymywaliśmy się na czas pewien, aby zbadać okolicę.

Upłynęła godzina, i nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. Już mieliśmy przywrócić aparatowi poprzednią jego szybkość, gdy nagle Jan zawołał,

— Patrzcie! Widać coś, co w szczególny sposób przypomina wodę!

— Tak, rzeczywiście—dodałem.

Wielki ciemny obrus zwierciedlił się lekko w słońcu, jakby pokryty cienką matową zasłoną a ruchome zmarszczki nie pozostawiały żadnych, wątpliwości, że obrus ten jest płynny. Rozciągłość jego równała się w przybliżeniu rozciągłości jeziora d'Annecy.

— Woda? Miałażby to być woda? — wybąkał Antoni...—Ma ona dziwne zabarwienie. Widziałem błotniste wody o takim samym zabarwieniu!

— Tak, podobnem; ale i to rzadko... Nareszcie! W każdym razie to płyn... a przecież na tej niegościnniej planecie pierwszy to ślad płynu... Spójrzmy raz jeszcze z naszego „borne”.

— I słusznie!

— Tym razem wszyscy troje nie opuścimy naszego schronienia.

Skorośmy się zatrzymali u jeziora, przekonaliśmy się, że brunatne zabarwienie jest istotnie właściwą barwą tego płynu. Ogarnęło nas głębokie radosne uczucie. Świat ten nie był więc (trochę to nawet i smutne) zupełnie niepodobny do naszego! Giętkie kształty, falujące na wybrzeżu, dalej nieco, na równinie, wydawały się niezaprzeczenie odpowiednikami

naszych roślin. Przez parę chwil trwaliśmy w pewnego rodzaju ekstazie, a Jan miał oczy łez pełne.

Jeżeli żadna z tych roślin nie odtwarzała ściśle kształtów ziemskich, wszystkie jednak przypominały to nasze trawy, to paprocie, to znowu krzewy, drzewa, grzyby, mchy, a nawet porosty lądowe i wodne. Ale te niby-mchy dosięgały rozmiarów naszych wierzb, niby-grzyby wznosiły się na wysokość siedmiu-dziesięciu metrów, porosty wypuszczały liście długie, jak nasze wodorosty, a tymczasem najwyższe drzewa nie przewyższały rozmiarów leszczyny i wyglądały bardziej przysądzacie niż którekolwiek z naszych wielkich drzew, tak dalece, że mimo malej Wysokości dosięgały niekiedy obwodu baobabu; rzekłbyś, wznoszą się tu resztki pni olbrzymich, ściętych na wysokości kilku stóp, na których rozrasta się mnóstwo malutkich gałązeczek.

Roślinność ta uderzała różnaitością barw, których koloryt przypominał odcienie naszych lasów we wczesnej jesieni, gdy liście stają się podobne do ogromnych, rozkwitłych pęków kwiatów...

Gdyśmy już napatrzyli się tej okolicy prawie ziemskiej, pochłoneły nas inne odkrycia; z kolei ukazały się zwierzęta... Tym razem nie ulegało wątpliwości: były to, niezaprzeczenie, stworzenia, odpowiadające naszym zwierzętom, mimo że stanowiły co do swej budowy mieszaninę kształtów, dla naszych oczu podksiężycowych bardzo dziwną.

Nie było wśród nich ani jednego czworonoga: zwierzęta te, małe czy wielkie, posiadały po pięć nóg; piąta różniła się znacznie od innych i spełniała, zdaje się, bardzo złożoną rolę. Jak i na naszej ziemi, tak i tu jedne zwierzęta krążyły po lądzie, inne pływały po wodzie, jeszcze inne unosiły się w powietrzu. Nie miały piór, pokryte były natomiast sierścią, łuską lub po

prostu skórą, nie widzieliśmy, żeby choć jedno z nich miało ogon. Miały wiele oczu, których liczba wahała się zależnie od gatunku, żadne jednak z tych stworzeń nie miało ich mniej, niż sześć; oczy te były na ogół mniejsze niż oczy naszych czworonogów, ale tego samego rodzaju, obdarzone jakimś wyższym blaskiem, Nie widać było ani uszu, ani nozdrzy, tylko usta, uzębienie których zlewało się w jedną bryłę...

Rozmiary były tu najrozmaitsze; nie widzieliśmy jednak, by którekolwiek z tych zwierząt dosięgało rozmiarów zebry.

Tułów ich przypominał mniej więcej tułów zwierząt ziemskich. Tu i tam widać było stworzenia o czaszkach, które z grubsza można było porównać z czaszkami wilków, kotów, niedźwiedzi, żółwi i ptaków, obok znów inne, których głowy były do skonała czworokątne lub dokładnie ścięte w kształcie piramidy.

Na naszej planecie widzi się tyle rodzajów łap, że często spotykaliśmy zupełnie podobne i u zwierząt marsyjskich, które ukazywały się na wybrzeżu i na równinach. Mieszkańcy powietrza mieli po pięć skrzydeł, które, jakeśmy to zaraz ujrzeli, mogły też służyć i jako łapy. Stworzenia wodne posiadały po pięć płetw, z których cztery były boczne, a jedna—brzuszna.

Opisuję tu i nagromadzam wyniki naszych badań, jak gdyby następowały po sobie bez przerwy, w rzeczywistości jednak trzeba było na nie godzin całych...

Przed wszystkim wolno poszybowaaliśmy ponad okolicą, co przeraziło mieszkańców powietrza, nie, zdaje się, nic wywarło żadnego wrażenia na istotach zarówno wodnych, jak i lądowych. Następnie, nie widząc żadnych tworów zwierzokształtnych, to jest takich, jakie ujrzeliśmy w pierwszej okolicy natych-

miast po wylądowaniu, postanowiliśmy zbadać inne strefy na brzegu jeziora i na równinie.

Od początku spostrzegliśmy, że większość zwierząt marsyjnych była roślinożerna; zwierzęta te wyrywały i pożerały rośliny. Wkrótce jednak byliśmy też świadkami mięsożerstwa, zwłaszcza wśród mniejszych zwierząt.

Trzeba było czekać ze dwie godziny, aby ujrzeć walkę między dwoma mieszkańcami powietrza; zwycięzca porwał swą ofiarę do wnęki skalnej. Następnie spostrzegliśmy zwierzę wielkości wilka, jak rzuciło o ziemię niewiele co od siebie mniejsze stworzenie.

Istne piekło ziemskie—zamruczał Jan.

Sceny takie jednak zdarzały się nieczęsto, gdyż liczba roślinożerców przewyższała ilość mięsożernych.

Czy zrobimy pieszą wycieczkę?—zapytałem.

— Chciałem to właśnie zaproponować—odparł Jan.

Los wypadł na Antoniego, aby strzegł „Stellarum” i zarazem towarzyszył nam, unosząc się w powietrzu w pewnej od nas odległości. Gdyby „Stellarium” leciało zbyt blisko, utrudniałoby nam badania, zmuszając zwierzęta do ucieczki.

Zaopatrzeni w zwykłe respiratory i w respiratory-kondensatory, w aparaty promieniotwórcze, spowici w powietrzochny, wyszliśmy — Jan i ja—na brzeg jeziora, Przedewszystkiem zaczerpnęliśmy trochę wody z jeziora; była ona nieco cięższa niż woda na Ziemi i rozprzestrzeniała nieokreśloną, lekko aromatyczną, wcale nie przykrą woń.

Gęstość jej wynosi 1,5 w stosunku do wody naszych oceanów. Czy to aby woda? Jestem niemal pewny, że wcale tak nie jest, Zresztą możemy się o tem zaraz przekonać.

Każdy z nas rozporządzał małym kompletem przyrządów analitycznych, co pozwalało na niektóre pobieżne doświadczenia. Badany płyn, ogrzewany w maleńkiej probówce, wymagał do wrzenia znacznie wyższej, niż woda, temperatury, gęstość jego wynosiła około 1,7. Prócz tego stwierdziliśmy, że jeżeli zawiera tlen i wodór, to w skład jego wchodzi około 20 innych substancyj.

— Prawdopodobnie carbonitrum i boran?

— A więc z jednej strony carbonitrum i borem ograniczałyby promieniowanie cieplne; z drugiej zaś—uczestniczyłyby w tworzeniu płynu trudno parującego. Te dwa pierwiastki powinny nam wytłumaczyć zagadkę Marsa...

Uprzątnąwszy przyrządy, rozpoczęliśmy wycieczkę, wyruszając w drogę od brzegu jeziora.

Zwierzęta unikały nas z wyjątkiem najmniejszych, które nie wiedziały prawdopodobnie o naszej obecności. Zresztą nie okazywały ani strachu, ani ciekawości.

— Jesteśmy dla nich najzupełniej obcy — rzeki Jan—a stąd mimowolna ich nieufność, ale tylko instynktowna.

Niekiedy zwierzę mniej ostrożne zatrzymywało się w pewnej odległości i przypatrywało się nam swymi mnogimi oczami. Kiedyśmy się jednak ku niemu zbliżali, uciekało natychmiast.

— To są chyba najrozumniejsze... Starają się jakoś zdać sobie sprawę... z tego, co się wokół dzieje. Co by to było za szczęście, Janie, gdybyśmy spotkali jakieś istoty, podobne do ludzi!

--- Albo też, co by to było za nieszczęście, gdyby być tak sprytnie i tak okrutne, jak ludzie.

— „Stellarium” jest blisko...

— Kostusia jest, zdaje się, jeszcze bliżej. Patrz, dobrze zastawiona pułapka—i... po nas!

— Żywo!

I oto ukazało się zwierzę, podobne do mięsożer-nych, jedno z tych, które widzieliśmy na łowach, za-nim wybraliśmy się na wycieczkę. Zwierzę to, nadzwyczajnie krępe, dosięgało rozmiarów ogrom-nych New-Foundlanderów i miało pysk w kształcie pięciościennego pryzmatu; jego sześć oczu świeciło jak robaczki świętojańskie, sierść była koloru blado fioletowego i przypominała brodate mchy.

— Zapewne ma chętkę popróbować smaku nie-znanego mu dotychczas mięsa—pokpiwał mój towa-rzysz.

Nagle zobaczyliśmy zwierzę innego rodzaju, przy-pominające nieco naszą łasicę, ale łasicę o pysku wy-giętym w kształcie spirali, rozmiarów dzika. Ścigało je zwierzę, podobne do tego, któreśmy przedtem widzie-li. Wzięte we dwa ognie, skierowało się na ukos, gdy nagle ukazał się trzeci nieprzyjaciel; zwierzę zostało osaczone w trójkącie...

— Podobne to kubek w kubek do drama-tów naszej Ziemi—rzekł Jan.—Jeleń lub sarna, osa-czona przez wilki.

Ścigany zwierz usiłował prześlizgnąć się między dwoma napastnikami. Na próżno! Jeden z nieprzyja-ciół chwycił go za kark, dwaj pozostali dopadli z bo-ków. Jan chciał się w to wmieszać, ale było już za późno... Napastnicy rozpruli swej ofierze gardziel, skąd lał się żółty jak siarka płyn, niewątpliwie krew marsyjska—tymczasem zwierzęta rozplątały mu brzuch.

— Chciałem już zmarnować nieco promieni! — rzekł Jan.—I chociaż planeta powinna według

mnie pozwolić na odnowienie zapasów energii, lepiej jednak oszczędzać tych zasobów.

— Tem bardziej, że nie przybyliśmy tu, aby zmieniać odwieczny bieg rzeczy na Marsie!

Zamyśleni, szliśmy wolno dalej. Człowiek najlepiej ze wszystkich zwierząt umie się przystosować do warunków otoczenia, więc my czuliśmy się już oswojeni z okolicą, z roślinnością, ze zwierzętami, a nawet z tem uczuciem lekkości, które tak niedawno jeszcze sprawiały nam wiele przykrości i kłopotu. Teraz przeciwnie, miło nam było poruszać się szybko i bez wysiłku; oddychaliśmy zaś doskonale, dzięki kondensatorom, które zgęszczały powietrze marsyjskie.

— Jeżeli tu są rośliny lub zwierzęta jadalne— jadalne dla ludzi—to nic nam nie może przeszkodzić, by żyć na Marsie przez czas nieograniczony— zauważył Jan,—Sądzę, że można tu znaleźć wszystko, co jest niezbędne do życia i do odnowienia zapasów energii, potrzebnej do powrotu... A to co znowu takiego?...

To, co nadchodziło, nie dodało nam zbytnio otuchy. Istna bestja apokaliptyczna, długości dwunastu metrów, podobna zarazem do aligatora, węża i nosorożca, sunęła ku nam. Była ona niska, tułów miała obły, wąski, pysk na kształt piramidy, u końca którego wystawał jakby długi róg, skórę na bokach miała naga, łuskowatą na grzbiecie, a kosmatą na pysku; zwierz ten podrygiwał, posuwając się naprzód, co przypominało pełzanie; wąskie łapy poruszały się ogromnie" szybko,

— Pełza czy chodzi?—zawołałem.

— Jedno i drugie! — odparł mój towarzysz. — Ruchy łap odbywają się współcześnie z podrygami tułowia. Swoją drogą takiego brzydactwa nie mamy na Ziemi.

Gdy zwierz nas zobaczył, zatrzymał się nagle, a jego oczy—miał ich ze dwanaście—to gasły, to znów rozbłyskiwały, jak gdyby zależały od jakichś przerywaczy.

Na wszelki wypadek przygotowaliśmy aparaty promienionośne.

— Ciężar tego zwierzęcia odpowiada chyba ciężarowi kilku słoni—rzekł Jan.

— Pięciu albo sześciu.

Zauważyliśmy, że dookoła wszystkie zwierzęta uciekały w panicznym popłochu; był to dowód, że potwór jest istotnie straszliwy,

Zwierz zatrzymał się na chwilę, ale zaraz ruszył dalej w drogę i widocznie parł na nas.

— No, no, mój staruszkule!—wykrzyknął Jan.

I posłał mu pęk promieni Bussaulta.

Podrygi zwierzęcia stały się kurczowe, ale potwór nie zatrzymał się jeszcze, przeciwnie, raczej przyspieszył biegu. Z kolei i ja puściłem wiązkę; i tym razem wynik był zupełnie widoczny; olbrzymia masa zastygła nieruchomo, blask oczu zagasł...

Niebawem zwierz zawrócił i z trudem, ciężkim krokiem oddalił się od nas,

— Dostało mu się!—rzekł Jan.—Skończyć z nim?

— Zbyteczne... a kosztowałyby to zapewne dużo energii. Sądzę, że jest on niezdolny do walki na dobry kawał czasu! Ale otóż i Antoni!

Rzeczywiście, „Stellarium” leciało tuż, tuż nad nami. Wymieniliśmy porozumiewawcze znaki z naszym przyjacielem, który, zupełnie już uspokojony, znów się oddalił,

— Wciąż jednak niema tu żadnego zwierzęcia, które by, jak u nas w końcu trzeciorzędu, umiało rozniecić ogień—zamruczał Jan.—Zdaje mi się jednak, że jeśli w ogóle istnieje możliwość napotkania go

tutaj, na Marsie, to chyba niema dogodniejszego miejsca, jak wybrzeże tego jeziora.

— O—odparłem—być może, wie ono już o naszej obecności.

— ...Może ukrywa się... a oczy jego, niby ludzkie, są w tej właśnie chwili w nas utkwione; może zastawia pułapkę. Kto wie?

Jan wzruszył ramionami i roześmiał się.

Gdyśmy się wspięli na wzgórze, oczom naszym ukazał się las, las niby-grzybów, dziwny i straszny zarazem, który wywarł na nas nieodparte wrażenie.

— Doprawdy—powiedziałem—rzekłbyś, olbrzymie podpieńki, wielkie muchomory, a obok jakiej niebywale trawniki, jakieś gałazki, grajcarekowi wygięte. Co to za niezwykła tkanka? zupełnie nie przypomina liści.

Tajemnicze zwierzęta ukazywały się i znikwały, władcy przestworów wzbijali się na swych pięciu skrzydłach w powietrze. Wśród nich widać było małe stworzenia, mało co większe od chrząszczy, inne — wielkości sikor polnych, kruków, a nawet sokołów... Nie miały one ani piór, ani dzioba, ani też ogona, pyszczki ich w kształcie dwułucza były po bokach spłaszczone.

Jan zamruczał, zniecierpliwiony.

— To wciąż tylko te, które najmniej przypominają faunę ziemską. Nade wszystko zadziwia mnie tych pięć skrzydeł. Nie wiem, czyś zauważył, że w czasie lotu mają skrzydła ustawione jak gdyby spiralnie... Podobnie, jak tamta bestja apokaliptyczna zdawała się biec i pełznąć zarazem, tak i te istoty powietrzne jak gdyby latają i pływają jednocześnie.

— Tero. większa ich zasługa, że w tak rozrzedzonym powietrzu umieją latać. Niezwykle też silne muszą mieć skrzydła...

— I nie bez powodu mają ich po pięć!

- Dotarliśmy do jasnej leśnej polany, gdzie rosły tylko wątle pnącze i niby-porosty. Tu i ówdzie wznosiły się skały, podobne do błędnych gładów; zatrzymałem się na chwilę, aby kilka z nich dokładnie obejrzeć, a Jan oddalił się tymczasem o jakie sto metrów. Musiało go coś zaciekawić

I dlatego zapuścił się w ciasny przesmyk między dwiema skałami, wynioślejszemi niż inne.

Straciłem go z oczu...

Upłynęło chwil kilka, poczem, widząc, że przyjaciel mój nie wraca, poszukałem go bacznie okiem. Wokół nikogo nie było. Z kolei więc i ja zwróciłem się ku modrym skałom...

Nagle ku memu ogromnemu zdziwieniu ukazały się trzy istoty, różne zupełnie od wszystkich, któreśmy dotąd widzieli. Wsparte na trzech łapach, tułów miały ustawiony pionowo i niezaprzeczenie uderzało w nich coś ludzkiego. Nawet ich twarze mimo sześciu oczu i braku nosa, twarze o skórze, niczem nieporosłej, nasuwały myśl, że jest to coś, co odpowiada naszemu gatunkowi...

Lecz jak opisać te oblicza? Jak przedstawić te harmonijne kształty, podobne do kształtów najpiękniejszych waz greckich, jak odmalować cudowny koloryt ich skóry, który przypominał rozkwitłe pęki kwiatów, blade obłoki o zmięczeniu, delikatną egipską emalję. Na twarzach ich nie widniał żaden z tych grubych wyrostków, jakimi są nasze nosy, uszy lub wargi, ale świeciło sześć cudownych oczu, wobec których najpiękniejsze oczy na Ziemi są tylko jakimiś błonami skrzydłowemi chrząszczy lub żuków, oczy, z

których przeziarały wszystkie błyski różnobarwnej jutrzeńki, oczy o blasku łąk zielonych we wczesnem świtaniu, rzek o zachodzie słońca, głębokich jezior, oceanów, burz, chmur...

Istoty te kroczyły dziwnie, gdyż każdą z trzech nóg stawiały oddzielnie. Gdy się zatrzymywały, stopy ich tworzyły wąski trójkąt, w którym środkowa stopa była nieco na lewo od tylnej i przedniej. Wzrostem swoim istoty te dorównywały Hiszpanom lub Włochom z okolic południowych.

Patrzałem na nie, pogrążony w zdumieniu i zachwycie a tymczasem istoty oddaliły się i zniknęły za drzewami. Inne jednak ukazały się w oddali. Jedno z tych dziwnych stworzeń podniosło jakiś przedmiot, podobny do zwiniętego pnącza; uczułem, jak mi nogi drętwieją.

Z trudem utrzymując aparat promieniotwórczy, wysłałem ku nim wiązkę promieni... Dwie istoty zachwiały się, a pozostałe zadrżały i znikły za zło- mem skalnym, Odrętwienie moje trwało najwyżej pół minuty, ale ogarnął mnie żywy niepokój.

Zawołałem, jak mogłem najgłośniejsz:

— Janiel!... Janiel!...

W tejże chwili ukazało się ze dwanaście pionowych istot; trzymały się jednak w dalszej odległości niż poprzednie. Widziałem je tylko przez chwilę, gdyż „Stellarium” opadało już na polanę.

Gdy było na wysokości kilku dekametrów, polana opustoszała zupełnie.

Antoni ukazał się u drzwiczek „Stellarium”.

— Czy widziałeś Jana?—krzyknąłem.

— Jana?... Nie, nie widziałem — odpowiedział Antoni swym zwykłym, spokojnym głosem, który zachowywał podczas najstraszniejszych przejść, ale oczy jego miały wyraz zatrwożony.—Leciałem wła-

śnie nad polaną, gdyście zbliżali się ku błękitnym skałom... ujrzałem człekopodobne istoty; zrozumiałem, że grozi wam niebezpieczeństwo—i oto jestem...

— Jan zniknął... ale te stworzenia są, zdaje się, bardzo groźne... Porażają, jak my, z odległości... a energia, którą się posługują, poraża mięśnie... mam wrażenie, że uratowała mnie jedynie znaczna odległości.

Podczas gdy to opowiadałem, nie przestawaliśmy obaj badać poprzez lunety całego obszaru... Zdała ukazać się dwa czy trzy razy jasne oblicze i zniknęło.

— Nie możemy przecież opuszczać Jana—rzekł Antoni.—Ale jak postąpić? Odważyć się i pójść tam—ależ to śmierć niechybna. Istoty, które umieją wysyłać energię na daleką odległość, są dość rozumne, aby nas schwytać w zasadzkę. Tem łatwiej im to pójdzie, że ich jest wiele.

Spojrzeliliśmy na siebie z niezgłębionym smutkiem.

— Spotka nas tu na pewno nieszczęście, jeżeli pozostaniemy—podjął Antoni—i tak dziwne, że jesteśmy jeszcze cali. Wejdźmy do „Stellarium...” W każdym razie tam mamy najlepsze widoki znalezienia jakiegokolwiek śladu... No!

Ciągnął mnie, włókł za sobą; śmierć Jana wydawała nam się czemś nieuniknionem; czyż nie był już trupem?

Poszybowałiliśmy nad lasem, jeśli te zarośla olbrzymich grzybów w ogóle lasem mogły być nazwane. Widać tu było tylko istoty powietrzne i płochliwe „pięcioniogi”, ani śladu wokół człekopodobnych.

— Prawdopodobnie „Siellarium” je przeraża—rzekł Antoni—wzniesmy się wyżej.

Wzbiliśmy się wysoko ponad polaną, nic szczególnego nie widząc, ale gdy szybowaliśmy na wysoko-

ści kilku kilometrów, ukazały się na dole istoty człekopodobne. Błąkały się spokojnie, zajęte dziwną pracą. Dwa czy trzy razy widzieliśmy, jak jedno z nich zwróciło na jakiegoś piacionoga ów dziwny przyrząd, którym chciały mnie odrętwić; zwierzę zachwiało się i padło...

— Z pewnością te istoty odpowiadają ludziom — rzekł Antoni.

Podzielałem jego zdanie. Zdolność działania tych istot tak była różna od ruchów innych zwierząt, że istoty te musiały być całkiem odmienne od innych stworzeń marsyjskich.

— Gdybyż chciały oszczędzić Jana!—westchnąłem.

— Czy go aby wzięły żywcem?

Wciąż wracaliśmy na polanę, wykonując najrozmaitsze obroty, Ale nic nie spostrzegliśmy, Z godziny na godzinę gasła, coraz bardziej nasza słaba nadzieja. O, jakże bezcelowa, jakże śmieszna wydawała mi się teraz nasza wyprawa!

— Jakiśmy się mogli odważyć i przybyć tu w tak malej liczbie!—wyrzekłem po pięciu czy sześciu godzinach ciężkiego, przygnębiającego milczenia.— Nie jesteśmy przecież szaleńcami!

— Żałować należy tylko czynów głupich — odpowiedział Antoni z powagą, — Wszyscy badacze narażają swe życie. Takie już prawo! Iluż zginęło tych, co płynęli na skorupach Kolumba czy Magellana, na statkach Cooka, tych, co zapuszczali się w dziewicze lasy, puszcze, pustynie... Iluż zginęło tych, co żeglowali hen, ku księżycowi lub nań wylądowało! A cel, do którego dążyli, nie był tak wielki, jak nasz... Zginę tu, być może, ale przez myśl mi nigdy nie przejdzie, że mógłbym żałować.

— Powinniśmy byli jednak wyruszyć w większej liczbie!

— W takim razie trzeba było zbudować, kilka „Stellarjów”, a więc czekać, czekać długo, bez końca, szukać pieniędzy i ludzi, narażając się na wyprzedzenie. Nic zresztą nie przemawia za tem, że w większej liczbie powiodłoby się nam lepiej... Jeżeli na Marsie żyje dużo istot „Trójnożnych”, uzbrojonych, jak te, które porwały Jana, to byłoby dla nas znacznie niebezpieczniej, gdybyśmy tu przybyli w dwudziestu, trzydziestu czy pięćdziesięciu, niż we dwóch, trzech czy czterech. Poddamy się przeznaczeniu! Czyż nie uczyniliśmy już dawniej ofiary z naszego życia?... -

Dzień miał się już ku końcowi. Los skazał nas na spędzenie nocy ponad lasem. Ujrzeliśmy znów „etryczne” twory, ale było nam zbyt ciężko na sercu, by móc się zagłębić w spostrzeżenia i drobiazgowy badania. Poczuliśmy jednak Zdawać sobie sprawę z indywidualności, woli i gatunku tych fosforyzujących istot.

Obroty ich były równie nieciągle, jak kołowanie tłumów na ulicach naszych miast, a nawet bardziej jeszcze nieciągle, bardziej urozmaicone i bardziej zmienne, pomimo że chęć ruchu powstawała w nich dla jakichś niezrozumiałych celów.

Częsta bardzo wymiana fosforoscencji o zmiennym rytmie, wciąż przerywana i wznawiana, nasuwała myśl o wzajemnem porozumiewaniu się tych istot, o języku.

Nie można się było zorientować, czy porządek jakież panuje w poszczególnych gromadkach, czy też go niema; w każdej takiej gromadzie było dwieście do kilkuset istot, raz nawet widzieliśmy tysiące posplatanych włókien, których wielkość sięgała siedmiu lub ośmiu metrów, a które wznosiły się ku górze po nie-

mal że pionowej kolumnie z sieci. Rój ten wspinał się z ogromną szybkością, jakgdyby chciał dosięgnąć gwiazd.

Mimo ciężkich obaw, które przeżywaliśmy, wzbiliśmy się w górę jednocześnie z tem mrowiem dziwnych istot.

to wzniosło się na kilkaset kilometrów wzwyż... Już od dłuższego czasu kolumna zagasła; istoty eteryczne pędziły teraz drogą mniej wyraźną, zacierającą się za nimi. Wreszcie zatrzymały się, ale ożywienie ich nawet podczas spoczynku objawiało się drganiem całego zwartego tłumu. Mniej więcej po upływie pół godziny tłum wrócił na planetę.

--- Byliśmy świadkami wielkiego wydarzenia eteryczno-społecznego — rzekł Antoni, zamyślny, gdyśmy znów poczęli zataczać koła ponad lasem. — Myślę, że istoty te stoją o wiele wyżej od nas.

— Ale przecież one, zdaje się, nie wiedzą o naszym istnieniu, podczas gdy my je widzimy! Czyż nie jest to pewna wyższość z naszej strony?

— A czyż nam nie były obce podczas całego ubiegłego rozwoju drobnoustroje, które przecież dziesiątkowały ludzkość. Czy więc powiesz, że te bakterje, mordercy murzynów, czerwonoskórych, Egipcjan, Greków, stoją wyżej ca ludzi, których one zabijały, a którzy o ich istnieniu nic nie wiedzieli?

— Kto wie...

Cisza. Rzucaliśmy na zagadkowy las promienie światła, mimo woli spodziewając się wbrew jakiegokolwiek nadziei ujrzeć naszego nieszczęśliwego przyjaciela.

Antoni pierwszy objął straż, a ja zasnąłem na parę godzin gorączkowym snem skazańca, pełnym maja czeń i marzeń straszliwych.

Noc jeszcze była, gdy na mnie przyszła kolej czuwania. Aż do brzasku nie przestałem kołować nad ponurym lasem. Dusza moja była śmiertelnie smutna—i gdyby nawet Jan nie był moim bardzo ukochanym przyjacielem, to tu, na tym obcym, dalekim świecie, odczułbym boleśnie jego stratę.

Droga poprzez otchłań międzygwiazdną, odosobnienie na planecie, zatraconej gdzieś w przestworach, stworzyły z nas trojga jedną istotę.

Zajaśniał wreszcie świt, natychmiast przemieniając się w dzień jasny... Beznadziejnie przypatrywałem się drzewom wielkim i pnącym się roślinom... Nagle serce zabiło mi żywiej; przeszło mnie radosne uczucie, jak jasna błyskawica wśród szalejącej burzy,

Jan był tam!

Sta! tam, na owej leśnej polanie, skąd był zniknął, u błękitnych skał.

Posłałem mu na znak strumień światła, na co odpowiedział rytmicznymi ruchami — znakami naszego słownika radjostenograficznego.

Mówił:

— Zdrów i cały, przebywam wśród istot, odpowiadających naszej ludzkości. Rozumiemy się trochę, choć jeszcze bardzo niejasno. Oni są łagodni; myślę nawet, że łagodniejsi, niż ludzie. Odrętwili mnie z początku, a potem schwytali, ale nie doznałem najmniejszego gwałtu. Zdumienie ich i ciekawość są wprost olbrzymie; gorąco chcą wiedzieć, skąd pochodzimy; myślę, że mi się to uda im wytłumaczyć,

— Ale czy masz coś do jedzenia i czy możesz oddychać?

— Co do oddychania, niema obawy... pozostawili mi obydwie respiratory, ale jestem głodny, a przede wszystkim spragniony. Człowiek nie może pić ich

wody... nie mam odwagi jeść ich pokarmu... odgadli to.

— Czy jesteś wolny?

— Nic... i wątpię, czy mnie wypuszczą—zanim się im wytłumaczę. Przyślijcie mi wody... wody jak najprędzej.

— Zaraz, drogi Janie... Już budzę Antoniego.

Antoni, którego tak, jak i mnie, męczyły dręczące sny, zerwał się na pierwsze moje wezwanie i zastygł w bezruchu, widząc naszego towarzysza

samego na polanie.

Wyjaśniłem mu szybko położenie, a Jan tymczasem stenografował:

— Mogłem się upewnić, że ich fluidalne pioruny przenikają przedmioty niezbyt grube, najwyżej pięciu czy sześciu centymetrów, a przeniknąwszy, stają się nieszkodliwe. Życiu nie zagrażają, je no odrętwiają. Na odległość stu metrów działają z osłabioną mocą. Zastosujcie więc odpowiednie środki.

— Dobrze—rzekł Antoni—zaraz spuścimy żywność.

Napędce zawinęliśmy pakiet i spuściliśmy go z wysokości dwustu metrów; spadek jego był zwolniony wskutek małego przyciągania Marsa.

W czasie spadania zawiniątka spostrzeżliśmy, jak z pod ziemi wyskakuje ze dwadzieścia istot „trójnożnych”, które z widoczną ciekawością przypatrywały się temu, co się działo.

— Dziękują—zatelegrafował Jan, gdy już schwytał żywność. — Spodziewam się, że wkrótce będę mógł udzielić wam dokładniejszych nowin.

Widzieliśmy, że póki jadł i pił, nikt się nie zbliżył i nie przeszkodził mu, z chwilą jednak, gdy zamknął pudełko, cztery istoty trójnożne wyszły z pod ziemi, aby go odprowadzić.

— Co to ma znaczyć? — burknął Antoni.—Czy oszczędzą go w rzeczy samej, czy też zwlekają tylko?

— Mam wrażenie, że dopóki sami nie uczują się zagrożeni, nic mu złego nie zrobią. Chcą wiedzieć, kim jesteśmy i skąd przybywamy. Wyobraź sobie stan naszego umysłu w podobnych okolicznościach!

— Stan umysłu człowieka cywilizowanego—rozumiem, ale jeżeli tamci są dzicy?

— Sądzę, że są oni raczej schyłkowcami"... Przebywanie pod ziemią nasuwa myśl o upadku tej planety.

— Możliwe! Zresztą, broń ich — to bombardowanie fluidalne, o którym mówi Jan, zdaje się wskazywać na cywilizację żywą lub wygasłą już...

— Jakie to ciekawe!

— Antropocentrysto! — zawołał Antoni—Przecież istoty eteryczne, a nawet zwierzkształtne powinny ci się wydawać bardziej godnymi uwagi. Tamci zaś są pewnego rodzaju odpowiednikiem człowieka z Ziemi...

— To prawda... ale co ciebie w głębi duszy najbardziej zaciekawia? przyznaj...

— Dalibóg! Mana tę samą, co i ty, słabostkę! Zresztą Jan zdrów jest wprawdzie i cały, ale jednak pozostał jako jeniec... Dopóki go nie uwolnimy, będzie to tragicznym epizodem i najboleśniej-szem powikłaniem w całej naszej wyprawie.

— Trzeba go uwolnić!

Antoni ze smutkiem wzruszył ramionami.

— Ale jak to zrobić? Pomimo tego, że istoty trójnożne są bezsilne wobec „Siellarium", pomimo tego, że nasze promienie mogą ich zwyciężyć, to jednak one przecież trzymają Jana ...rozporządzają jego życiem. Możemy liczyć jedynie na przypadek albo na dobrą wolę tych, co go porwali.

— Nie wątpię wcale o tej dobrej woli.

— Ani ja... Ale jest. to przecież wrażenie nieuzasadnione!

— Ale ich łagodność, którą okazują Janowi...

— Podstęp, być może! Przypomina mi się rzeź Cooka.

Szybowaliśmy ponad lasem długie godziny, które były dla nas jeszcze bardziej ponure niż w nocy.

Około południa Jan zjawił się znowu na polance i natychmiast wziął się do telegrafowania.

— Jestem niezbitcie przekonany, że obyczaje ich są bardzo łagodne, łagodniejsze, niż nasze i... i nie chcą mi uczynić nic złego. Powoli powstaje się między nami język ze znaków porozumiewawczych... Udało mi się nawet wytłumaczyć im, że przybywamy z innego świata. Niema już żadnej wątpliwości co do stanu ich umysłów! rozum ich dorównywa rozumowi ludzkiemu i posiada wszystkie jego właściwości. Od wczoraj odwiedzają nas liczni przybysze, którzy nadciągają tu ze wszystkich stron,

— Jak sądzisz, czy jest to społeczeństwo rozwijające, czy też chylące się ku upadkowi?

— O! bezwarunkowo upadające, to nie przedstawia dla mnie najmniejszej wątpliwości. Należą one do istot, których życie zależy od płynu, otóż płyn ten, ta ich woda stała się rzadka i już nie jest, zdaje się, ta sama, co dawniej.

— Czy możemy liczyć na to, że cię uwolnią?

— Mógłbym się założyć, że z wszelką pewnością...

Tymczasem Trójnożni, jeden za drugim, wyskakiwali z pod ziemi.

Uważnie przyglądali się wymianie znaków porozumiewawczych między ich więźniem a żeglarzami ze „Stellarium”.

— Stanowczo, są niezwykle piękni!—rzekł Antoni.

— O ileż piękniejsi, niż my—westchnąłem.

Mogliśmy dowoli przypatrywać się chodowi ich i ruchom. Jak już mówiłem, stawiali za każdym razem tylko jedną nogę w ten sposób, że chód ich był na trzy takty. Ruchy ich wskazywały chwilami na duże podobieństwo, chwilami zaś zdradzały duże różnice w porównaniu z naszymi.

Ich górne kończyny opatrzone były w palce, ale właściwie nie tworzyły dłoni; zakończenia te, zastępujące nasze palce, brały swój początek jakby z konchy morskiej, było ich po dziewięć na każdej konsze—i wkrótce zauważyliśmy, że mogą się zginać we wszystkie strony, ale ruch któregokolwiek z nich nie wywoływał ruchu pozostałych.

W ten sposób mogły się owe palce dogodnie ustawiać i chwycić jednocześnie kilka przedmiotów z różnych stron.

Ubranie mieli zrobione z pewnego rodzaju mszystej rośliny, przylegało ono ściśle do ich ciała.

Jedna z tych istot, stojąca tuż za Janem, przypatrywała się ze szczególnie żywą uwagą naszym ruchom.

— To jest znakomita osobistość —powiedział nam Jan.—Wywiera wybitny wpływ na innych, z nim to właśnie układam cały system znaków porozumiewawczych, Trzeba jednak kilku jeszcze dni, aby móc się porozumieć, choćby co do najprostszych rzeczy.

— Czy masz jeszcze żywność i wodę?

— Do jutra rano wystarczy.

W tej chwili znakomita osobistość zaczęła wykonywać różne ruchy.

— Zdaje mi się — rzekł Jan—że stara się uspokoić nas co do przyszłości... W gruncie rzeczy odczuwam raczej smutek i przygnębienie, niż niepokój.

IV

I znowu tydzień pograżył się w niebycie. Codziennie porozumiewaliśmy się z Janem; nieraz zamierzaliśmy wylądować, ale więzień prosił nas, abyśmy jeszcze poczekał. Wobec tego, że ciągle nasza obecność była bezcelowa, udawaliśmy się i na dalsze wycieczki. Poznaliśmy dzięki tym wyprawom trzy strefy, zamieszkałe przez Trójnożnych, trzy strefy jezior i kanałów, które wszystkie razem ledwo dosięgały rozmiarów morza Śródziemnego.

Jeziora zwierciadliły się tylko w krainach podzwrotnikowych; widzieliśmy zaledwie kilka pod tą szerokością geograficzną, która by odpowiadała na Ziemi strefom o klimacie umiarkowanym. Wszędzie indziej wlokły się opary mniej lub więcej rozrzedzone, przypominające niekiedy lekką mgłę albo też, zwłaszcza w obszarach kół biegunowych—zaspę śniegową.

Wszystkiego chyba siedem czy osiem milionów Trójnożnych żyło na planecie. Większość miała swe schronienia pod ziemią; inni, w liczbie znacznie mniejszej, mieszkali w kamiennych domostwach, których styl przypominał nieco styl romański.

Domostwa te, widomy ślad przeszłości, zebrane były w wielkie skupienia. Rzekłbyś—to miasta, zbudowane jedynie z niskich lub wysokich kościołów romańskich, większość których rozpadała się w gruzy. Był to jeszcze jeden dowód upadku Trójnożnych. Wie-

le już setek, a może i tysięcy lat temu siedem czy osiem miast było zapewne tak zaludnionych, jak Paryż za Ludwika XIV-go lub Londyn za Kromwela; wszystkie razem posiadały teraz jeszcze kilkaset tysięcy mieszkańców.

Od razu można było się domyślić, że przemysł Trójnożnych zupełnie się już chylił ku upadkowi. Wyrabiali narzędzia, z których niejedne przypominały narzędzia ziemskie, służące do uprawy lub do przewozu; przyrządy te, rzadko zresztą spotykane, nie krążyły szybko po ulicach, lecz pełzły, zda się, po ziemi; niegdyś mieli Trójnożni maszyny latające, porozumiewali się na odległość za pomocą aparatów, których mechanizm pozostał dla nas niezrozumiały, a które do swego działania zużywały jakieś fale...

Wkrótce zauważono naszą obecność, i wtedy Trójnożni przypatrywali się nam za pomocą przyrządów, podobnych nieco do naszych lunet i zbudowanych prawdopodobnie na tych samych zasadach... Gdy tylko zjawiliśmy się, gromadziły się tłumy po miastach; tu i tam wyskakiwały z pod ziemi całe gromady Trójnożnych. Na ogół wzbudzaliśmy podziw i ogromną ciekawość.

Trójnożni zdradzali ślady cywilizacji, która mogła się ongi równać cywilizacji ziemskiej XIX wieku. Domyślaliśmy się, że stopniowo zaniedbywał poszczególne gałęzie przemysłu—i w miarę tego wiedza ich malała z wieku na wiek.

Co do ich zwierząt, to nieliczne tylko dosięgały rozmiarów naszych słoni, żyraf lub wielkich bawołów.

Dziedziny Trójnożnych i całe ich państwo zajmowało zaledwie ograniczoną część planety, najwyżej jedną dziesiątą całego globu. Granice ich posiadłości leżały z dwóch stron w połowie drogi od równika ku biegunom. Ta część planety, którą zamieszkiwały

istoty zwierzokształtne, bardziej była obszerna i sięgała o wiele dalej na północ i południe. Widzieliśmy wyraźnie, że przyszłość należy do nich.

Ale czy upadek Trójnożnych był wynikiem walki między dwoma królestwami, wynikiem braku możliwości życia w pewnych okolicach, czy też był on upadkiem samoistnym? Nie umieliśmy dać sobie odpowiedzi na te wszystkie pytania; pewne było jedno, że—obecność istot zwierzokształtnych wyłączała obecność Trójnożnych.

Wydało nam się oczywiste na podstawie tych wszystkich spostrzeżeń, że królestwo istot zwierzokształtnych było młodsze, niż to drugie.

— Przyszłość do nich należy — mówił pewnego dnia Antoni, gdyśmy już przelecieli nad najrozmaitszemi strefami—zawładną planetą!

— Władają nią jut w trzech czwartych!... A istoty eteryczne?

— Tamte, drogi przyjacielu, tak bardzo nas przewyższają, że wyrzekam się już nadziei, żeby sobie wyrobić jakikolwiek obraz ich przyszłości.

— Czy rzeczywiście nas przewyższają? Niewątpliwie są bardziej delikatne! Mniej podlegają ślepego przypadkowi... ale mimo wszystko są chyba mniej od nas rozumne...

— Może i tak. Chociaż wydaje mi się, że nawet budowa ich jest o wiele wyższego rzędu,

— Tak myślisz? Można by jednak powątpiewać. Wprawdzie wolne elektrony obdarzone są ruchem swobodniejszym i szybszym niż żywa komórka. Według mnie jednak, stoją one o wiele niżej od tej komórki,

— Chybione porównanie! Chodzi tu przecież o ustrój, złożony z cząstek promienistych, z komórek promieniujących, jeśli tak można powiedzieć. W ogóle

—to czcze roztrząsanie! Możemy się tu kierować jedynie intuicją, tak, niestety, niewystarczalną!

Jedenastego dnia ujrzelśmy Jana, który stał sam jeden na środku polany. Trójnożnych widać nie było...

Przyjaciel nasz podniósł ku „Stellarium” rozpromienione oblicze.

— Jestem wolny!—zawołał.

Serce zabiło mi w piersi jak oszalałe. Jan ciągnął dalej:

— Jak widzicie, trzymają się oni w oddale- niu... Mogłem się, zresztą, niezbitcie przekonać, że gdyby nawet mieli złe zamiary, to i tak byliby bezsilni wobec naszego schronienia. Broń ich jest niewystarczająca, żadne z narzędzi nie może uszkodzić naszych ścian, a środkami wybuchowymi nie rozporządzają. Zresztą, nie chcą nam uczynić najmniejszej krzywdy! Bezustannie mi to powtarzali... nie mylę się chyba.

Podczas gdy Jan telegrafował, „Stellarium” zniża- ło się na polanę. Wreszcie wylądowaliśmy, a Jan sta- nął przy nas.

Przestała nam już ciążyć ta straszna zmora smu- tku. Nadzieja rozbrzmiewała w nas pieśnią triumfal- ną. Przez długie chwile wymienialiśmy jedynie bez- ładne słowa radości.

Wreszcie Antoni spytał:

— A więc uważasz ich rzeczywiście za nieszko- dliwych?

— Już z przyrodzenia skłonni są do więk- szej łagodności, niż ludzie. Łagodność ta u nich jest połączona z rezygnacją.

— Dlaczegoż to z rezygnacją?

— Wiedzą sami dobrze, że i oni, i ich królestwo chyli się ku upadkowi! Przeświadczenie tego, że mu- szą upaść, jest w nich jakby wrodzone a zarazem

przekazane odwiecznym podaniem... Nasza obecność wzbudza w nich, oczywiście, natężoną ciekawość i napawa ich, o ile dobrze zrozumiałem, nieokreśloną nadzieją.

„Stellarium” zatrzymało się tuż nad polaną.

Powoli schodzili się Trójnożni, trzymali się jednak w pewnym oddaleniu; jeden tylko zbliżył się i rytmicznie poruszył prawem ramieniem.

— Składa wam życzenia powitalne — rzekł Jan. odpowiadając na skinienie Trójnożnego.

— Cóż teraz zrobimy?—zapytał Antoni.

— Dacie mi filiżankę kawy — zawołał, śmiejąc się, nasz przyjaciel.—Brak kawy dawał mi się dotkliwie odczuć.

Szybko zagotowałem wodę, a Jan tymczasem mówił dalej.

— Jeżeli chcecie, będę codziennie wracał do nich na dwie, trzy godzinki... chciałbym wydoskonalic system znaków porozumiewawczych. Wy zaś prowadzilibyście w dalszym ciągu badania... Dokonaliście chyba arcyciekawych odkryć?...

— Odkryliśmy miasta Trójnożnych... ale czy nie wiesz czasem, dlaczego jedni mieszkają na powierzchni, a inni pod ziemią.

— Sądzę, że rozwój tych istot szedł tu w dwóch odmiennych kierunkach. Istoty podziemne nie obcuja z tamtymi, nie walczą z niemi, ani ich nic nie nawiąda. Ale i ci Trójnożni posiadają również prawdziwe miasta i wioski. Grody, wznoszące się na powierzchni — to przeważnie zwaliska. W miastach, które pomieścić by mogły trzysta do czterystu tysięcy Trójnożnych, żyje najwyżej dziesięć tysięcy, a niekiedy jest ich nawet mniej. A zatem miasta podziemne, całkowicie zaludnione, są nowsze. Gród podziemny moich przyjaciół nie ma chyba więcej, niż dwu tysiące

mieszkańców. Przebiegłem to miasto we wszystkich kierunkach... Ale cóż za kawał.

Jan chłonał chciwie wonny, odurzający napój.

— Udoskonaliliśmy mnóstwo starych rzeczy, do tego jednak nic nie trzeba było dodać ~ zawołał, kończąc kawę.—Ze wszystkiego, cośmy z sobą zabrali, nic nie przypomina mi tak rzewnie Ziemi.

— Jak sądzisz, czy, ściśle biorąc, będziemy mogli przedłużyć nasz pobyt na Marsie?—spytałem.

— Jeżeli chodzi o energję, to z pewnością znajdziemy tu wszystko, co trzeba, a nawet, wicie, łatwo będziemy mogli odnowić zapasy tlenu... Pozostaje jedynie sprawa żywności. Pokarmy Trójnożnych nie są dla nas odpowiednie...

— Gdybyśmy tylko mieli pokarmy białkowe...

Bo co do węglowodanów...

— Mamy ich pod dostatkiem.

— Są tu, co prawda, pokarmy białkowe—podjął Jan—ale prócz białka zawierają one jeszcze boren i carbonitrum. Moglibyśmy te pierwiastki wyosobnić, a wtedy uzyskalibyśmy znośny pokarm zastępczy... W zwykłym swoim składzie pokarmy te nie są wprawdzie trucizną... ale nie mają również znaczenia odżywczego.

— A gdybyśmy się chcieli do nich przyzwyczaić—wymagałoby to chyba lat całych.

Powrót Jana wniósł do naszego tycia promienną radość.

Dawne marzenia wyłaniały się z otchłani, z przepaści niezmiernych przestrzeni, po których żeglowała nasza rodzima planeta.

--- A jednak—wyszeptał Jan — szczęśliwy będę, gdy ją znowu zobaczę.

Każdego wieczoru zwracaliśmy ku Niej spojrzenie, patrząc, rychło li stanie się gwiazdą jaśniejącą. Czy

też ujrzymy ją jeszcze, nędzne atomy, zdobywcy eteru, marni żeglarze po Oceanie niebytu.,.?

Wszystko już jedno; nie żałujemy niczego; tęsknota nie stłumi w nas żądy poznania.

I przyjdzie czas, kiedy eskadry „Stellarjów” szybować będą z planety na planetę. Ludzie — to zwierzątka... ale niebyłe jakie zwierzątka...

V

Jan udawał się codziennie na trzy, cztery godziny do Trójnożnych, a potem brał udział w naszych wyprawach. Antoni i ja rwaliśmy się do działania, ale musieliśmy czekać, aż system znaków porozumiewawczych, dosięgnie wyższego stopnia rozwoju.

Ćwiczyliśmy się również z Janem, który przynosił nam codziennie jakieś nowe „słowo”.

I oto okazało się, że w tej pracy umysłowej Trójnożni przewyższają ludzi. Obdarzeni byli większą lotnością umysłu. Czyż i u nas starożytne, chylące się ku upadkowi narody nie posiadały umysłów bardziej abstrakcyjnych i głębszych, niż ludy młoda jeszcze?

Pewnego razu, powróciwszy od Trójnożnych.

Jan zauważył:

— Możemy już zamienić ze sobą z dwiesięć „wyrazów”. Za pomocą sześciuset, siedmiuset „wyrazów” można powiedzieć w ele... Zresztą, przecież nawet pisarze klasyczni, tak subtelni, używali wszystkiego dwanaście, piętnaście setek słów!

W miarę tego, jak Jan i jego trójnożni przyjaciele wzbogaca i swój „słownik”, otrzymywaliśmy coraz dokładniejsze wiadomości o obecnych i minionych lo-

sach Marsa. Wiadomości te potwierdziły nasze wnioski.

Wśród istot podziemnych trwało żywe wspomnienie o dawnej ich potędze i głębokiej wiedzy. Niegdyś Trójnożni uprawiali misterny, różnorodny

przemysł; wznosili potężne wytwórnie, niezliczone maszyny, służące do komunikacji lądowej i powietrznej; umieli wyzyskać tajemniczą energię, a nawet teraz jeszcze używali promienionośnej broni do napadu i obrony.

Dowiedzieliśmy się również, że od setek tysięcy lat ani jedna wojna nie wybuchła między Trójnożnymi. Niezgody rasowe nie przejawiały się tu nigdy w czynie brutalnym i gwałtownym, a tem bardziej w krwawych potyczkach.

— Zabijają jednak—mówił Jan—niektóre zwierzęta... O ile dobrze zrozumiałem, to, zdaje się, walczyli często z innem królestwem— Ale dotąd jeszcze niejasno zdaje sobie z tego sprawę.

— Sądzę, że nie chodzi tutaj o istoty eteryczne.

— O, z pewnością nie! Nie ulega wątpliwości, że mówili o stworzeniach zwierzokształtnych, które, jak zrozumiałem, bezustannie opanowują ład.

— Zapewne współzycie obu tych królestw jest niemożliwe?

— Tak przypuszczam...

Cała ta sprawa żywo nas zaniepokoiła. Jan obiecywał zrobić wszystko, co będzie można, aby uzyskać dalsze szczegóły.

Dostarczył nam ich w trzy dni później.

— Teraz rozumiem. Już po pewnym czasie oba dwa te królestwa nie mogą współżyć ze sobą na jednym i tym samym obszarze. Pomijając już starcia ze Zwierzokształtnymi, starcia w obu królestwach śmierć siejące, ziemia traci powoli zdolność rodzenia

roślin, ulega zatruciu. Zwierzęta giną, dla Trójnożnych niema możliwości życia. Jest więc rzeczą ważną dla nich, by odpierać najmniejsze próby wtargnięcia... Ukryci w korytarzach podziemnych, przyjaciele nasi wolni są od swych wrogów; jeżeli bowiem wydzieliny Zwierzokształtnych wnikną nawet przez szczeliny do ich podziemi, to zostają one natychmiast unieszkodliwione, wchłonięte. Trójnożni umieją również organizować napady, które jednak nie zabijają Zwierzokształtnych, lecz utrudniają im jedynie bytowanie. Na nieszczęście słabość liczebna Trójnożnych, wzmagająca się z dnia na dzień, zacieśnia ich pole działania; to też, niestety, wiele już jest obszarów opuszczonych lub słabo bronionych.

W chwili obecnej rozgrywa się zacięta walka gdzieś w południowej okolicy, nie wiem dobrze, jak daleko stąd. Istoty zwierzokształtne, ogromnie liczebne, zdobywają ziemię pędz po pędzi... Domyślam się, że Trójnożni oczekują od nas pomocy...

— Nic prawie nie możemy dla nich zdziałać! — rzekł Antoni.

— A jeżeli Mars dostarczy nam jakiejś ukrytej energii? a sądzę, że może nam jej dostarczyć z niezbyt wielkim trudem.

— Zobaczymy, a teraz w każdym razie trzeba badać wszelkie możliwości!

VI

Pierwsze spotkanie wywarło na nas silne wrażenie.

Działo się to w odległości kilku stóp od „Stellarium”, pod koroną jakiejś niebotycznej rośliny... Było tam pięciu Trójnożnych; którzy przyglądali się nam swemi mnogimi oczyma...

Wszystko w nich było dla nas niezwykle; żaden z obrazów ziemskich nie odpowiadał ich wyglądowi, ale pomimo to widok ich nasuwał na myśl tysiące nieuchwytnych, nieokreślonych podobieństw i od pierwszego wejrzenia budził nieopisaną sympatję. Przewszystkiem zaś oczy nadawały wyrazu ich harmonijnym obliczom.

Ani jedno z sześciu ich oczu nic miało tej samej barwy, a każdy odcień mienił się jeszcze w sposób, nic dający się odmalować. Ta różnorodność barw i odcieni i ta ich ciągła zmienność nasuwała myśl o ruchliwym życiu, które czarem swym przewyższało najpowabniejsze wdzięki życia ludzkiego. O! jakże mdłe, jakże matowe wydałyby się wobec ich oczu najcudniejsze oczy kobiety lub dziecka z Ziemi!

Wrażenie to, tak silne od pierwszego wejrzenia, wzmagало się z chwili na chwilę, i wreszcie nawet żywe spojrzenie Jana wydało mi się rozpaczliwie bezmyślne.

Podczas nieskończonych chwil samotności znaki, których nas Jan nauczył, wryły się niezatarcie w nasze mózgi, nerwy i mięśnie. To też posługiwaliśmy się nimi dość swobodnie. Zresztą, rozmówcy nasi chwyтали wlot i pojmovali dokładnie wszystko, co chcieliśmy wyrazić. Wrodzona intuicja pozwalała im rozumieć to nawet, czegośmy nie umieli im wytłumaczyć,

— Wiem już—rzekł ów, który wydawał się znakomitą osobistością i który nią był w istocie — że przybywacie z sąsiedniej planety... Przewyższacie i nas... i naszych dziadów!

Zdało mi się wtedy, że dostrzegam dziwny smutek w wielobarwnym lśnieniu jego oczu.

— Dlaczego mówisz, że przewyższamy? — rzekł Antoni — jesteśmy tylko inni!

— Nie... nie.,, górujecie nad nami. Świat nasz jest mniejszy, a my niedługo byliśmy jego panami; tak już odkute są czasy, gdy znikła nasza potęga. My jesteśmy zwyciężeni... Wiemy, że wy jesteście zwycięzcami... jesteście zapewne panami na swym globie.

— Tak, panujemy nad innymi istotami żywymi...

— A my wciąż odступujemy. Nie bylibyśmy niešťczęśliwi, gdyby nie tamci... Zdawien dawna ojcowie nasi wiedzieli, że ród nasz zginąć musi... Już nas to nie zasmuca, ale chcielibyśmy ustąpić bez przemocy.

Po paru bezskutecznych usiłowaniach udało mu się wysłować:

— Wszystko, co żyje, ma swój kres! Koniec ten nie przychodzi wcześniej dla nas, niż dla naszych poprzedników; żyjemy nawet dłużej... A że liczba nasza maleje ze stulecia na stulecie, więc pragniemy tylko, aby tamci dali nam czas, Możebyście nam pomogli?

Aż dziwne! Przyzwyczajalem się zwolna do tych twarzy płaskich, pozbawionych wyrostków skórnych, tak w gruncie rzeczy brzydkich, za pomocą których oddychamy i wachamy; przyzwyczajalem się do tej skóry, tak mało do naszej podobnej, do tych przedziwnych konarów, które im ręce zastępowały. Czułem, że stopniowo wszystko mi się wyda najzupełniej naturalne.

Ich wieczyste milczenie wywierało na mnie wrażenie stokroć silniejsze, niż ich wygląd. Język ich był wzrokowy, i okazało się, że nie tylko nie byli zdolni do wydania jakiegokolwiek głosu, zbliżonego do naszych

artykułowanych dźwięków, ale nawet nie mogli krzy-
czeć, jak krzyczą najmarniejsze zwierzęta ziemskie.

— Czy oni nic nie słyszą? — zapytał Antoni.

— Na pytania moja w tym przedmiocie nie otrzy-
małem odpowiedzi — mówił Jan.

Antoni usiłował zapytać ich raz jeszcze; nie udało
mu się jednak wytłumaczyć im, o co chodzi. Pojęcie
słowa, jako dźwięku, i jakiegokolwiek wesołe wrażenie
słuchowe było im zupełnie obce.

— Mogą natomiast wyczuwać drgania zie-
mi, których my przecież zupełnie nie czujemy. Zdol-
ność tę mają wykształconą do tego stopnia, że w
ciemnościach rozróżniają, czy ktoś się zbliża, z taką
dokładnością, której ludzie osiągnąć nigdy nie będą
mogli.

— A czy wyczuwają dotykiem, choćby do pew-
nego stopnia, fale powietrzne?

— I tak, i nie zarazem, jeśli fale te są bar-
dzo silne, to wyczuwają je za pomocą wstrząśnięć
ziemi lub pobliskich przedmiotów.

Gdyśmy tak gawędzili, nadeszła nowa gromadka
Trójnożnych.

— Wśród nich są dwie „kobiety” — zauwa-
żył Jan—nie mogę się jednak jakoś zdecydować, że-
by je nazwać samiczkami...

Nie trzeba ich było nam wskazywać: wyższe nieco
od mężczyzn, różniły się od nich o wiele więcej, niż
nasze towarzyszki od nas.

Próżnobył się kusił, by odmalować ich nie zwy-
kły urok i czar. Gdybym sięgnął po wszystkie przeno-
śnie poetyckie, gdybym chwycił się porównań do
gwiazd, lasów, wieczorów letnich, poranków wiosen-
nych, przezroczych taflí wód, nic bym jeszcze nie po-
wiedział

Piękno ich nie nasuwało na myśl krasy ludzkiej ani też piękna zwierząt. Na próżno wyobrażnia szukała jakich wspomnień zatartych, jakiegoś nieuchwytnego, niegdyś zapamiętanego czaru, A urok ich był nieodparty! Potęgował się z każdą chwilą! Czyż można wobec tego powątpiewać, że poczucie piękna nie jest zwykłym przystosowaniem cząstki rzeczywistości wszechświata do naszej ludzkiej rzeczywistości?

Wiedziałem zawsze, że twarz ludzka z nosem nakształt mięsistego guza, wydzielającym śluz, ze śmieśznymi uchowatemi wyrostkami, z ustami w kształcie otworu pieca, wstrętnymi zresztą ze względu na swą czynność zwierzęcą—nic jest bynajmniej bardziej pojętna, niż łeb dzika, głowa węża, pysk szczupaka, a cały ten urok, który dla nas przedstawia, jest wynikiem tego samego instynktu, który prowadzi hipopotama, sępa czy ropuchę... Zdawało mi się dawniej, że cała strona estetyczna otaczającej nas rzeczywistości zależy ściśle od budowy nas—ludzi, i gdybyśmy byli ukształtowani w sposób zupełnie odmienny, zmieniłby się wraz z naszą budową i nasz sąd o pięknie.

Jednakże widok tych młodych Marsjanek przeczył całej tej teorii; zwłaszcza najpiękniejsze z nich wykazywały, że istnieje piękno, które my ta takie uznać możemy, a która jest całkiem odrębne od dotychczasowych naszych pojęć estetycznych.

Rozmowa toczyła się żywo i przybierała ciekawy obrót Trójnożni zapytywali, czy nie możemy im pomóc w walce z zalewem, grożącym pewnej części ich państwa. Walka ze Zwierzokształtnymi małych i średnich rozmiarów nie przedstawiała dla nich żadnej trudności, ale do pokonania olbrzymów używać musieli fal bardzo silnych; prócz tego musieli się trzymać w znacznej odległości, w przeciwnym bowiem razie musieliby poświęcić wielką ilość swych wojowników,

Naogół rozporządzali dość słabą energią promienionośną.

--- Czy przodkowie wasi byli lepiej uzbrojeni?— spytałem.

Nasi pra-pradziadowie — tak, Ale naówczas nieprzyjaciele nasi z innego królestwa byli mniejszych rozmiarów i zajmowali jeno jałowe zakątki. Nikt wtedy nie przewidywał, co będzie w przyszłości!... Gdy ujawniło się niebezpieczeństwo, było już za późno. Nie rozporządzaliśmy tak silnymi środkami, by zgładzić naszych olbrzymich wrogów... Wszystkie więc nasze wysiłki zmierzają teraz jedynie do powstrzymania ich najazdu.

Przedstawiam tu zwięzłe odpowiedzi Trójnożnych, uzyskaliśmy jednak te wszystkie szczegóły dopiero po całym szeregu najrozmaitszych pytań, pytań, które z trudnością zostały wyjaśnione.

— Czy wasi wrogowie mają jakiś ustrój? — pytał Antoni.

— Niezupełnie. Między nimi nie zachodzi żadne bezpośrednie porozumienie, nic u nich nie wskazuje na to, że mają jakiś język. Nie wiemy, czy można tu mówić o jakimkolwiek rozumnym ustroju. Działają na mocy jakiegoś niezrozumiałego dla nas instynktu, który im każe gromadzić się w miejscu, skąd rozpoczynają najazd; w ślad za nimi przybywają rzesze zwierząt niższych, a gdy pobędą w jakiej okolicy, gleba tam zostaje zatruta— i nasze rośliny już na niej rosnąć nie mogą.

— A czy najazd taki jest bardzo gwałtowny?

— Tak, od pierwszej chwili jest nadzwyczaj gwałtowny. Najazdy te są coraz to częstsze. Ongi, setki wieków temu, posuwanie się nieprzyjaciela było tak powolne, że prawie nieuchwytnie! Wrogowie nasi zajmowali tylko okolice pustynne; już wtedy

rozpoczął się nasz upadek. Teraz tracimy coraz częściej najżyźniejsze obszary; zalew, który się na południu rozpoczął, jest bardzo groźny, a jeśli się wrogom powiedzie, będzie nas drogo kosztował.

— Naradzimy się między sobą!

Przez długą chwilę patrzyliśmy wszyscy troje na siebie.

— Rozumiemy dobrze, że moglibyśmy wdać się w tę sprawę—rzekł Antoni—ale stracilibyśmy wtedy znaczną ilość energii, a obecnie środki nasze nie pozwalają nam na to. Trzeba się więc przekonać, czy Mars może dostarczyć nam nowych zasobów energii... Promienie słoneczne są zbyt słabe, by nasze aparaty mogły je przetworzyć na energię promieniotwórczą. Możemy się więc spodziewać zasiłku jedynie od jakiejś materji na Marsie.

— Sądzę, że planeta będzie mogła nam owej energii dostarczyć — zapewniał Jan.

— A więc pracujmy nad tem.

Trójnożni przypatrywali się z napięciem tej tajemniczej rozmowie. Wiedzieli już, że znaki porozumiewawcze wychodzą z naszych ust, i starali się pojąć znaczenie ruchów warg.

Jan zwrócił się ku nim i „obwieścił”:

— Napadniemy na waszych nieprzyjaciół, jeżeli znajdziemy niezbędną do tego energię...

Po kilkakrotnem powtarzaniu udało się wreszcie wytłumaczyć im, czego nam właściwie potrzeba. Dzięki temu, że Trójnożni nabijali swą broń pewnego rodzaju energją (dotąd nam nieznaną), zrozumieli w końcu, co chciał Jan powiedzieć.

Pomożemy wam — rzekła owa wpływowa wśród Trójnożnych osobistość. — Ale skąd wiecie, że pomoc wasza będzie skuteczna?

— Pewni jesteśmy tego, gdyż napotkaliśmy już waszych wrogów i udało nam się zmusić ich do ucieczki.

Na te słowa ogarnęło Trójnożnych żywe wzruszenie.

Ich mnogie oczy, zda się, rozpromieniły oblicza.

Jedna z „kobiet”, piękniejsza od pozostałych i bardziej od „mężczyzn” niecierpliwa, zapytała:

— A czy widzieliście największe z pośród nich?

— Tak, kilka; były one tak długie, jak stąd do tamtej oto skały.

W jaki sposób rozpoznaliśmy oznaki radości Trójnożnych, radości tak różnej od wszelkich ludzkich objawów zadowolenia — nie umiem powiedzieć, Zdradzały nam tę radość nade wszystko ich oczy, te oczy, nieustannie się mieniające. Szczególnie czarowne było radosne wzruszenie ciekawej Marsjanki.

VII

Przyzwyczajenie, jedna z postaci wzajemnego przystosowania się ludzi lub zwierząt, zacieśniało coraz bardziej nasze stosunki z Trójnożnymi. Żyliśmy się z ich obecnością, z ich postaciami, z ich zwyczajami i prawami; zdawało nam się czasem, że już długo, bardzo długo wśród nich przebywamy.

Jak już wyżej rzekłem, wiedli oni życie istot - podziemnych, mimo że znaczną część dnia spędzali pod golem niebem. Jednym z powodów takiego życia była ucieczka przed dojmującym chłodem nocy. Istotnie, na pewnej głębokości panowała łagodniejsza

temperatura, a podziemia rozjaśnione były światłem, wydobywającym się z podglebia planety.

Nie trzeba tu było drążyć w ziemi schronisk. Planeta zryta była jaskiniami, które łączyły się za pomocą podziemnych korytarzy; schodziło się tam po mniej lub bardziej spadzistych pochyłościach na dwa lub trzy tysiące metrów w głąb. Tu i owdzie Trójnożni przemysłnie ulepszyli swe naturalne mieszkanie.

Niekiedy jaskinie ciągnęły się długim szeregiem na daleką przestrzeń, czasem napotykał się zwierciadła wodne, a nawet jeziorka. Im bardziej posuwaliśmy się w głąb, tem oświetlenie stawało się żywsze. Byliśmy przeświadczeni, że światło to zawdzięczało swe istnienie jakiemuś zjawisku promieniotwórczości, ale nie natrafiliśmy na żadne ciało, które by przypominało nasze violjum, dawny rad, ani nawet olanjum.

— Niewątpliwie — zauważył pewnego poranku Antoni — emanacje ciał promieniotwórczych wyczerpały się w powierzchniowych pokładach gleby planetarnej, podczas gdy w głębi są one jeszcze bardzo silne...

— Ach, żeby to była przynajmniej energia promieniotwórcza — docinał Jan.

— W każdym razie — rzekłem — szkoda, że nic posiadamy tej energii, za pomocą której moglibyśmy odnowić nasze zasoby.

W braku pierwiastków promieniotwórczych odkryliśmy inne pierwiastki, które, odpowiednio z sobą łączone, wytwarzały niezwykle wysoką ciepłotę i wydzielały promieniowanie o dużym natężeniu.

Dzięki temu zdołaliśmy skutecznie niezbędne dla naszych prac zmiany w układzie atomowym ciał... i w ten sposób udało nam się zaopatrzyć w znaczne zapasy energii, którą łatwo już mogliśmy odnawiać... Ponadto uczyniliśmy cały szereg pomyślnych

doświadczeń, polegających na stopniowym wyodrębnianiu obcych składników. Doświadczenia te pozwoliły nam zmienić wodę marsyjską na ziemską, a prócz tego udało nam się jeden ze środków spożywczych Trójnożnych uczynić i dla nas jadalnym. Mogliśmy więc odtąd przedłużać bez końca nasz pobyt na Marsie,

A tymczasem zacieśniały się węzły przyjaźni z kilkoma naszymi gospodarzami. Coraz łatwiej nam było rozmawiać, a o sprawach codziennych „mówiliśmy” już bez najmniejszego trudu.

Wytwórczość Trójnożnych nosiła jeszcze ślady tego niedawnego przemysłu, który ongiś przypominał przemysł ludzki z wieku XIX-go, Trójnożni w sposób bardzo pomysłowy wykorzystują promieniowanie gleby planetarnej i zamieniają je na silną energię cieplną; uprawiają przemysł metalurgiczny, nieco różny od naszego; stosują ciała odmienne od naszych metali i metaloidów; nie wyrabiają żadnych tkanin, a ubranie swe i wszelkiego rodzaju okrycia wykonują z pewnej piankowatej materji, którą otrzymać można przez odparowanie jakiegoś surowca nieorganicznego, a której nadają zadziwiająca moc i sprężystość. Łóżka swe budują w ten sposób, że giętkie płyty przybijają za pomocą czterech, sześciu lub ośmiu haków do pewnego rodzaju belek; ich sprzęty domowe były zbyt różnorodne, bym je mógł wszystkie opisać, uderzały jednak podobieństwem do sprzętów ludzkich w różnych czasach spotykanych u różnych narodów.

Rolnictwo ich jest niejako „promieniste”; nie kopią prawie wcale gleby, poddają ją natomiast przed siejbą działaniu prądu swych fal. Korzenie roślin z łatwością przebijają glebę, w ten sposób uprawioną. Od czasów najdawniejszych Trójnożni spożywają posiłek

w stanie płynnym, który wchłaniają za pomocą rurek, przypominających nasze trzciny.

Życie osobiste i społeczne jest tu bardzo swobodne, Można śmiało powiedzieć, że nie znają oni zbrodni, tak samo zresztą, jak i cnoty. Poszanowanie wolności bliźniego nie sprawia im żadnej trudności i nie wiedzą, co to bogactwo lub ubóstwo; każdy ma tu zmysł pracowitości jakby wrodzony, podobnie jak mrówka, z tą tylko różnicą, że zachowują poczucie własnej osobowości.

Trójnożni, zdolni do czynów gwałtownych, brutalnych, spotykają się niezwykle rzadko. Ogół uważa ich za niespełna rozumu.

Czy jednak można powiedzieć, że nie znają żadnych namiętności? O nie, przeciwnie; są one nawet bardzo silne, ale nie szkodzą bliźniemu. Najniebezpieczniejszą z tych namiętności mogłaby być miłość. Rządzi bowiem niemi równie władczo, jak i nami, ale przez ciąg długich wieków znikło w nich uczucie zazdrości.

Mężczyzna i kobieta, z których jedno nie jest już kochane lub przestaje być kochane, może cierpieć straszliwie, ale nie przyjdzie mu nigdy na myśl zaprzeczyć prawu wolnego wyboru.

Miłowanie kilku osób spotyka się również często, nigdy jednak nie staje się przyczyną dramatów.

Ta ich wyrozumiałość tłumaczy się, być może, tem, że wszelki dobór uważają za bezcelowy. Od długich, długich tysiącleci nie mają już żadnych złudzeń co do swego upadku; uznają tę konieczność bez żalu i, jak my, cieszą się z całej duszy radością życia.

Kiedym razu pewnego rozmawiał z jednym z naszych przyjaciół, który najlepiej może nas rozumiał, ten powiedział:—„Dlaczego to śmierć gatunku miała by zasmucać jednostki? Czy nie jest tak zawsze, że

każdej umierającej istocie wydaje się, że wraz z nią ginie świat cały?

Oczywiście, ale mogło się zdarzyć, że upadek gatunku rzucałby ponury cień smutku na dusze,

A tu wprost przeciwnie, oczekiwanie końca, zda się, zsyłało na Trójnożnych powszechną pogodę.

Jak kochali? Minęły długie miesiące, zanim powziąłem jakiegokolwiek o tem wyobrażenie, na pewno dalekie od doskonałości, na tyle jednak głębokie, na ile rozum ludzki pozwala. Wszystkie subtelności tego uczucia pozostały dla mnie zapewne obce tak, jak obce było dla Trójnożnych odbieranie wrażeń słuchowych.

Fizjologiczna strona ich miłości pozostawała dla mnie zagadką, w większą spowita tajemnicę, niż miłość kwiatów. Wzajemne ich uściski — gdyż ich pieśczoćta miłosna jest uściskiem—wydają się niezwykle czyste. Kochają całą swą istotą, ale jak gdyby niematerialnie. A jeżeli gra tu nawet jaką rolę materja, to jedynie pod subtelną postacią atomów rozproszonych, promieniować nieważkich.

Narodziny dziecięcia — to przezczysty poemat. Najpierw srebrzysta otoczka spowija matkę, otoczka ta rośnie u jej piersi, staje się świetlanym oparem. Wtedy to matka zawiesza u ramion precudną konchę na kształt bladego kwiatu, świetlane opary wnioskają do konchy, stają się dziecięciem, które, rosnąc u ramion matczynych, przybiera kształty swych ojców i dziadów. Żywi się z początku w sposób niewidoczny pożywieniem, wylaniającem się z matki.

Dla wyobraźni mojej w narodzinach i wzroście początkowym tych istot jest coś boskiego. Cała ułomność, cała brzydota ludzka została stąd wygnana tak, jak wygnano je z pieśczoćty miłosnej.

Przez cały czas naszych przygotowań, co wymagało przeszło trzech miesięcy, mogliśmy się dokładnie rozeznąć w budowie ustroju naszych przyjaciół.

Zmysł wzroku mają o wiele bardziej złożony, niż my, ich skala widzenia rozciąga się od promieni podczerwonych aż do nadfioletowych, a przy tym każda z trzech par ich oczu obejmuje inne odcinki tej skali. Pierwsza para, najwyżej osadzona, dostrzega tylko część barw widma słonecznego, od barwy pomarańczowej aż do mocnego indyga.

Następna, środkowa para oczu widzi promienie czerwone i podczerwone; trzecia wreszcie para jest szczególnie wrażliwa na promienie fioletowe i nadfioletowe aż do fal o największej częstości drgań...

Zmysł dotyku mają nadzwyczajnie przeczulony: rozróżniają bardzo słabe drgania ładu; odczuwają dzięki indukcji magnetycznej zbliżanie się Trójnożnych i pięcionogów podobnie, jak pewne zjawiska atmosferyczne; w ten sposób dotyk zastępuje im w zupełności zmysł słuchu...

Uprawiają sztukę, która działa na wzrok, ale sztuka ta nic jest statyczna, nieruchoma, jak nasze malarstwo, rysunek lub rzeźba; jest to sztuka dynamiczna, w której gra światel najróżnorodniejszych zastępuje wrażenia wzrokowe, jakie odbieramy, patrząc na piękny obraz. Chwilami miałem przecucie, ile taka sztuka posiada blasku i nieskończenie subtelných odcieni, ale niestety! tylko przecucie. Wszystkie moje usiłowania, zmierzające do zrozumienia, odczucia, nie powiem już symfonii, ale choćby najprostszej melodii świetlanej — były bezowocne.

Doznałem przygody dziwnej, najdziwniejszej i najciekawszej w całym moim życiu. Przypadek, który kieruje losami na Marsie, jak i na Ziemi, zetknął

mnie z tą pełną wdzięku — istotą, o której już przedtem wspomniałem.

Jako że pałała pragnieniem poznania naszego świata, jako że bez wątpienia jakaś tajemna sympatja przyciągała na: ku sobie, pomogliśmy przypadkowi i... znowuśmy się zaszli.

Z niezwykłą wprost szybkością nauczyła się naszego wzrokowego abecadła; czuła palącą ciekawość dla globu, z któregośmy przybyli, i robiła niezmordowane wysiłki, by zgłębić jego tajemnicę.

Usiłowałem odmalować jej obraz naszej ludzkości, którą uważała za znacznie wyższą od Trójnożnych, gdyż my, ludzie, zdołaliśmy przebyć straszliwą otchłań międzygwiezdna. Nie ustawała ani na chwilę w ciągłej nauce, i ciągiem dążeniu do wiedzy, a w oczach jej, najcudniejszych z pośród wszystkich oczu jej rodaczek, płoną! zachwyty.

Zaiste, trudno określić uczucie, które mnie ku niej ciągnęło; był w niem i podziw, z dnia na dzień rosnący, rozkosz odnajdywania coraz to nowego szczególu jej niewysłowionej piękności, zachwyty, graniczący z czarami, uniesienie, jakie chyba dawne cudne boginie budziły w Helleńczyku, czułość, której nie było równej. Nie była to miłość, która z góry wydawała się niemożliwą, ani przyjaźń, którą cechuje silniejszy związek dusz, ani słodycz, budząca się w sercu na widok dziecka.

Nie, doprawdy, uczucia tego do niczego przyrównać nie było można; nie porównywałem go tedy wcale.

Stają mi przed oczyma te piękne przechadzki po lesie, nad brzegiem jeziora, po rudawych polach: żyłem, jak w zaklętej krainie baśni, ożywiony tyra dziwnym ogniem, który każe zapomnieć o czasie i zsyła

ową radosną beztroskę małych dzieci i młodych zwierząt.

Razu pewnego zabawiliśmy nieco dłużej u brzegów jeziora. Zapadł już wieczór, ów przezysty wieczór marsyjski, gorejący gwiazdami, stokroć świetniejszemi, niż te, które podziwiamy na najwyższych naszych górach.

„Gracja” okazywała dla ziemskich cudów podziw, który niemal że w cześć przechodził.

W powietrzu, niewypowiedzianie czystem, zabłysły istoty eteryczne w całym swym blasku.

Czas jakiś patrzyłem w zachwycie na to przepiękne zjawisko, poczem dałem znak stojącej opodal towarzysze:

— Dzięki nim, Gracjo, Mars góruje nad naszą Ziemią.

Odpowiedziała—i odpowiedź jej zdziwiła mnie niezmiernie:

— Nie sędzę!

— Dlaczegoż to?

— Nie mam żadnej pewności, czy te jaśniejące istoty są wyższe od was, a nawet ode mnie. Nie przemawia za tem nic a nic. Myślę, że coś podobnego z pewnością istnieje na Ziemi... tylko wy tego jeszcze nie możecie dojrzeć... tak, jak zresztą nasi prapradziadowie, którzy również tych istot nie spostrzegali.

— A może to one wtedy jeszcze nie istniały?

— W takim razie rozwój ich musiał postępować niezwykle szybko, zbyt szybko, by mogły być istotami wyższemi...

Patrzyliśmy na siebie w mroku nocy; oczy Gracji jaśniały, jak gwiazdozbiór Orjona; zdawało się, że całą swą istotą zawisła u mej twarzy:

— Jeśli Ziemia nie urodziła ich dotąd, to stworzy je w przyszłości — w większej jeszcze liczbie i o większym blasku, niż na Marsie. Glob wasz z całą pewnością stoi wyżej od naszego pod każdym względem!

Wracaliśmy, zamyśleni, lasem i od tego wieczoru miłowałem ją jeszcze gorącej.

A miłowałem gorącej, nową wciąż barwę nadającą tej miłości. Rosła między nami coraz to większa zażyłość, rozkosz serdeczna, obca zwierzęcym żądom ziemskim.

I ona również, tak mi się zdawało, coraz bardziej pragnęła mojej obecności. Razu pewnego zapytałem:

— Nieprawdaż, Gracjo, ludzie wydają się wam bardzo brzydcy!

— Sądziłam tak zrazu—odparła - choć brzydota ta nie sprawiała mi nigdy przykrości. Teraz dopiero pojmuję, że wasze ciała i wasze twarze mogą też mieć swe piękno... A jeżeli spytasz o siebie —to już nic nie umiałabym ci odpowiedzieć. Oczekuję twego nadejścia z niecierpliwością... te nasze spotkania są dla ranie pełne dziwnego, nieznanego uroku.

— To, co mówisz, jest mi bardzo drogie!

Kochana Gracja! Coraz większy czułem dla niej podziw.

Gdym stał tak w jakimś dziwnym oszołomieniu, zdało mi się, że wstawał przede mną jakiś nowy świat. Z pomroków nocy wylaniały się istoty nadprzyrodzone, tajemnicze światło płonęło blaskiem baśniowym, niby wszechwórcza wieczność, i czułem, że ojczyzna Gracji zespala się kędyś daleko z zapomnianym światem mych dziadów, pradziadów...

Jak odmalować to uczucie, w którym drżenie wątlej piersi ludzkiej mieszało się z świetlanym blaskiem gwiazd, uczucie, które ogarnęło mnie, jak ogarnia

nieokreśloność równonocy wiosennej, zwiastującej lato...

VIII

Wojna ze Zwierzokształtnymi

Przygotowania nasze trwały dłużej, niż to byliśmy przewidzieli — ale wreszcie i one dobiegły kresu. Zaoopatrzeni w znaczne zapasy energii i w żywność, byliśmy gotowi podjąć walkę ze Zwierzokształtnymi.

Upłynęło już dwie trzecie pory letniej"), gdy „Stellarium" wylądowało w odległości trzech kilometrów od zdobytej przez Zwierzokształtnych okolicy. Była to równina, ze wszystkich stron otoczona niewielkimi wzgórzami. Trójnożni dbali o nią i cenili, gdyż dwa jeziora i kilka kanałów przerzynało tę krainę.

Dla użytku naszych przyjaciół wzięliśmy z sobą dwanaście silnych aparatów promienionośnych.

Po wielokroć wzlatywaliśmy nad okolicą; obszar ten nic był jeszcze systematycznie opanowany, jedynie kilkaset zwierzokształtnych olbrzymów, przybywszy tutaj jako straż przednia, wymordowało lub zmusiło do ucieczki zwierzęta.

Najazd zatrzymał się u brzegów szerokiego wądołu, niegdyś koryta rzecznego; zagrabiony obszar wynosił mniej więcej - trzysta tysięcy hektarów. Zwierzokształtne potwory żerowały tam kilka dni zaledwie, potem wracały, a na ich miejsce przybywały coraz to nowe zastępy.

Nie było żadnego porządku ani w oddalaniu się jednych, ani też w nadciąganiu innych.

Daremnie usiłowaliśmy odkryć ślady jakiegokolwiek organizacji; wszędzie panował bezład.

— Pewny byłem, że znajdę wśród nich jakieś wzajemne porozumienie, jeśli już nie takie, jak w ulu lub mrowisku, to przynajmniej podobne do tego, które widzimy u przelotnych ptaków — mówił Antoni—a tymczasem nic podobnego. W każdym razie uderza w

**) Jak wiadomo, rok na Marsie (a co za tem idzie, pory roku) trwa dwa razy dłużej niż na Ziemi.*

nich wyraźnie jakiś zmysł parcia naprzód, zmysł zupełnie określony, ale w danej chwili jakby sparaliżowany przez to koryto wyschłej rzeki... Koryto to przecież nie stanowi dla nich przeszkody; widzieliśmy, jak przebywali zwycięsko znacznie trudniejsze miejsca,

Zresztą od Trójnożnych dowiedzieliśmy się, że zawsze tak było. Każde najście Zwierzokształtnych miało swe granice. Dopiero bowiem wtedy parli całą siłą naprzód, gdy już przystosowali opanowaną krainę odpowiednio do potrzeb swego życia. Tkwiła w tem owa bezładna zagadkowa „jednomysłność”, jaka ujawnia się niekiedy w rozwoju gatunków, rodzin i rodzajów fauny ziemskiej.

— Dajmy lepiej spokój, nie zrozumiemy tego— rzekł Jan.

— A więc zabierzmy się do działania. Nie pójdzie to tak łatwo. Jeżeli nawet wypędzimy stąd ze sto takich olbrzymów, będzie to dopiero początek! Dość tam ich jest, by te zastąpić...

— Kto wie? A może ów zmysł, który ich pcha ku parciu naprzód, przetrzeże ich przed nieuniknionym niebezpieczeństwem... Trzeba więc postępować z pewną metodą.... Wymiećmy jak najle-

piej pierwszą strefę, oszczędzając jak najbardziej energii.

Uprzedziliśmy naszych sprzymierzeńców, przygotowaliśmy aparaty, z którymi uprzednio zapoznaliśmy Trójnożnych poczem Jan zwrócił się do tego, który na mocy milczącej zgody Marsjan został mianowany naczelnikiem wyprawy, a którego nazwaliśmy „Domniemanym Wodzem”.

— Nic nie róbcie, dopóki nie damy wam znaku... Przedewszystkiem oczyścimy zakręt „rzeki”.

„Stellarium” wzbilo się na nieznaczną wysokość. Widzieliśmy, jak olbrzymy rozbiegły się na wszystkie strony zdobytego obszaru, otoczone tłuszczą małych i średnich Zwierzokształtnych, która z oddali przypominała rój potwornych pluskiew.

Zakręt, położony na północo-wschodzie, ciągnął się na przestrzeni tysiąca metrów wzdłuż, a tysiąca dwustu wszerz... Wałęsało się tam z dziesięć olbrzymów.

Wiedzieliśmy jut z doświadczenia, jakie promienie były skutecznej rzuciliśmy wiązkę promieni, która unieruchomiła z początku, a potem zmusiła do ucieczki jednego z potworów.

Dość było kilku chwil, by go przepędzić daleko, daleko, a gdy był już poza zakrętem, napadliśmy na drugiego, potem na trzeciego...

W ten sposób wygnaliśmy pięć olbrzymów, ale gdy tylko zbliżyliśmy się do szóstego, ujrzelśmy, że dwa nowe zbliżają się znowu.

— Tego właśnie należało się obawiać!—zawołał Antoni. — A co to dopiero będzie na większym obszarze! Jak utrzymać zapórę z promieni? A jaki to olbrzymi nakład energii!

--- Trzeba nadzwyczaj silnych promieni, aby ich zmusić do ucieczki, ale może wystarczą i słabsza fale,

która będą ja trzymać w należytej odległości—
podsunał Jan,

— Ależ kreślisz już cały plan wyprawy wojennej. Zaczniemy jednak od próbnych doświadczeń.

Właśnie zwierz potężny zbliżał się ku zakrętowi rzeki. Puściliśmy nań słabą wiązkę promieni. Zrazu zdawał się ich nie odczuwać i sunął dalej naprzód... Wkrótce jednak zwolnił kroku,

— Zatrzymuje się!

Istotnie, zatrzymał się i długo tak stał w bezruchu. Wreszcie zaczął się cofać,

— W ten sposób zyskujemy poważne oszczędności! — zawołał z radością Antoni.

Na razie jednak, by dodać otuchy sprzymierzeńcom, postanowiliśmy użyć dość silnej energii promienistej, chcąc skończyć z oczyszczeniem zakrętu. Za każdym zaś razem, gdy tylko jakiś nowy przybysz usiłował przedostać się na teren zakrętu, zatrzymywaliśmy go słabszymi promieniami.

Po trzech kwadransach osiągnęliśmy nasz cel: u zakrętu pozostały jedynie drobne istoty zwierzkształtne, które już Trójnożni mogli wypędzić za pomocą swej własnej broni.

Te pomyślne wyniki zachwyciły naszych sprzymierzeńców—i odtąd słuchali naszych rad, jak świętych nakazów.

— Wyniki tych prób — rzekł Jan — są najzupełniej wyraźne, a dla nas — bardzo pouczające. Jeżeli tylko zechcemy poświęcić nieco czasu, to będziemy mogli zaoszczędzić dużo energii... Ale myślę teraz o czemś daleko ważniejszym, niż ta oszczędność: mianowicie, sądzę, że na to, aby utrzymać istoty zwierzkształtne w przyzwoitem oddaleniu, wystarczą akumulatory o malej pojemności... Trójnożni z łatwością nauczą się budować aparaty, które będą nabijać

energiją promienistą, czerpaną z gleby marsyjskiej. Dzięki tym aparatom obecne ich granice będą niezdobyte.

Podczas gdy Antoni czuwał nad zakrętem koryta rzecznego, Jan i ja udaliśmy się na poszukiwanie Trójnożnych; przyjęli nas, szalejąc wprost z zachwytu i radości. Tysiące pałających oczu dodawało ich obliczom niezwykłego blasku i kolorytu. Zwłaszcza „kobiety” były olśnione, kobiety—kwiaty cudne, żywe—rzeźby przepiękne o źrenicach, błyszczących niby bajeczne świetliki.

Gracja w uniesieniu wdzięczności powtarzała mi bezustannie:

— Czemże jesteście wobec was? Nędzne, bezsilne istoty! Jakże piękne być musi życie na Ziemi i jakże czuję się szczęśliwa, że mogę być waszą pokorną przyjaciółką...

— Gracjo, droga Gracjo, na planecie naszej niema istot tak uroczych, jak wy, i niema obrazów tak cudnych, jak wasze oblicza. To prawda, że obcy wam jest czar naszych rzek, szeroki przestwór stepów, urok głęboki gór, przesłoniętych kotarą lasów, wieczna gorączka wzburzonych mórz; obce wam jest piękno zapadającego mroku, który hen, daleko w głębi niebios zamiera, krasa kwiatów rozkwitłych, lecz całe to bezładne piękno dalekie jest od waszej świetlanej doskonałości!

— Rzeki... wody bieżące... fale, to burzą spienione, to znów łagodne... wszystko, coś rai tak barwnie odmalował, musi być bosko piękne! Budzą się we mnie wspomnienia, wspomnienia nie moje, lecz z mroku prawieków wyłonione, z tych czasów odległych, kiedy i Mars znał Żywe Wody.

Żywe Wody—powtarzała—a cała jej istota drżała zachwyceniem.

Udało nam się porozumieć z Trójnożnymi co do potężnego wspólnego natarcia. Miało ono rozszerzać się stopniowo, poczynając od jednego z kątów obszaru zagrabionego, mianowicie od tego zakątka, w którym leżał odzyskany zakręt koryta. Tego rodzaju stopniowo postępowanie wydało nam się bardziej dogodne, niż natarcie, obejmujące od razu wielki obszar. Przyzwyczajają bowiem i nas, i Trójnożnych do oszczędnego używania energii promienistej, a prócz tego uniemożliwiało wszelkie niespodziewane wtargnięcie Zwierzokształtnych na obszar, raz już zdobyty. Gdyby zaś istoty zwierzokształtne przedarły się zniemacka przez pozostawione luki, naraziłoby to naszych sprzymierzeńców, a może nawet i nas samych na poważne niebezpieczeństwa...

Minęło już południe, gdyśmy rozpoczęli natarcie, zużywając z początku niezbyt wiele energii.

Po kilku godzinach odepchnęliśmy najeźdźców na odległość trzech kilometrów (odpowiadało to powierzchni około pięciuset hektarów).

Pozostała jeszcze znaczna ilość zwierząt mniejszych, których rozpedzenie wymagałoby takiego nakładu czasu, że na razie pozostawiliśmy je w spokoju. Zapadała noc. Ustawiliśmy zaporę z promieni, która, choć słaba, mogła utrzymać istoty zwierzokształtne w należytej odległości.

— Gdy odzyskamy znacznie większe obszary—zauważył Jan—nie zdołamy rozciągnąć nawet i takiej zapory... za mało mamy aparatów. Musimy więc teraz pomyśleć o zbudowaniu wielu akumulatorów o małej pojemności.

Nie przedstawiało to dla nas wielkich trudności, gdyż udoskonaliliśmy nasze narzędzia, a prócz tego aparaty, potrzebne do utrzymywania zapory, nie wy-

magaly takiej dokładności w wykonaniu, nie mówiąc już o tem, że ich pojemność była bardzo mała.

Zawiadomiliśmy więc wodza Trójnożnych o naszym projekcie, a ten zrozumiał wlot jego doniosłość.

Wielobarwny tłum tłoczył się wokół olbrzymich ognisk, płonących na równinie, a widok ten wskrzesił na chwilę przed oczyma wyobraźni te czasy odlegie (przed okresem broni promienionośnej), kiedy to w wigilję bitwy wojownicy rozbijali obóz przy ognisku, od czasów pradawnych, gdy człowiek pierwotny walczył oko w oko z wrogiem, uzbrojony w oszczep, maczugą lub włócznię, aż po okres bitew krwawych przy pomocy armat olbrzymich i samolotów.

Tajemna nadzieja przywróciła tłumowi temu nieco zapału, od tak dawna już im nieznanego.

— Wydaje się, jak gdyby świat nasz odmłodził — mówiła do mnie Gracja. — Wraca nam dawne marzenie o przyszłości. Wielu z naszych spodziewa się, że Mars będzie ożywiony przez Ziemię...

--- A ty, Gracjo?

— Ja... nie wiem. Jestem szczęśliwa... czuję się wyższa.

Powiedział niegdyś poeta;

*Patrzyłaś na mnie nocą
Swem cudnem jak gwiazdy spojrzeniem.
Które mnie olśniło!*

Obraz ten, który byłby przesadą poetycką na Ziemi, jakże bliski był tu rzeczywistości! Oczy Gracji, żywszym blaskiem pałające, bardziej zmienne, niż nasze ziemskie, pozbawione błysku życia, zaprawdę można było porównać do wspaniałego wielobarwnego gwiazdozbioru.

Wyszliśmy już byli z pola, i w chłodnym mroku zapadającej nocy widać było istoty eteryczne, dokonujące swych tajemniczych obrotów. W mistycznym uniesieniu, tem mistyczniejszym, że byłem przy boku Gracji, wyobraźnia moja ulatywała ku nim i, patrząc na te świetlane istoty, rzekłem ze smutkiem:

— Nie zrozumiemy ich nigdy!

— Lepiej już tak—odpowiedziała.—Lepiej może nie rozumieć wielu rzeczy.

Tchnęła taką słodyczą i tkliwością, że zadrżałem, wzruszony do głębi istoty:

— O, Gracjo! Ciebie jedynie pragnąłbym zrozumieć!

— Prosta jestem... o ileż prostsza od ciebie! Ulegam jedynie mojemu uczuciu i nie badam, co i w niem się kryje...

— Dlaczego przebywasz ze mną?

— Jestem szczęśliwa przy tobie.

Dotknęła mnie leciutko, uczułem jakby fluid jakiś, bardziej niepochwytny i subtelny, niż zapach, bardziej wzruszający, niż muzyka. I nagle otwarło się przede mną inne cudne a dziwne życie, z przeszłości i przyszłości jego szedł, zda się, ku mnie obraz Gracji,

Chłód się wzmagał, odprowadziłem Grację ku ogniskom. Zatrzymaliśmy się obok wodza Trójnożnych, który był ojcem Gracji. Patrzył na nas z pogodnym zaciekawieniem, zdziwiony, zdaje się, zażyłością, jaka panowała między córką jego a mną. Podo- bałem mu się, zresztą, bardzo.

Niedorzecznością byłaby tu myśl o pociągu płciowym, zbyt wielkie różnice dzieliły ludzi od Trójnożnych! A gdyby nawet pociąg taki był możliwy i istniał między nami, ojciec Gracji nie martwiłby się tem wcale.

Nadzwyczajna „nieuchwytność” miłości marsyj-skiej, wolnej od wszelkiego brutalnego czynu, od wszelkiego gwałtownego lub dziwaczego ruchu, wyłącza, jak to już raz rzekłem, z miłości ich odrazę, nienawiść i zazdrość.

Ani matka, ani ojciec nie wtracają się do wyboru dzieci swoich. Kochankowie są wierni sobie na mocy jedynie swej miłości, nie związują się żadnym obrzędem społecznym, ani żadnymi wzajemnymi obietnicami, Jeżeli zaś chodzi o dzieci, to już od prawieków powierzone są pieczy wspólnoty, by łatwo było myśleć o ich losie. W ogóle niema u nich rodziny w ziemskim pojęciu tego słowa, chociaż kochają swe małżeństwa równie silnie, jak my nasze. Nie masz tu tych nekających, dręczących wątpliwości o prawdziwym pochodzeniu dzieci, wątpliwości, które męczą tylu ludzi na ziemi, mają ów dar szczęśliwy nieomylnego poznawania, czyjem dzieckiem jest noworodek.

Jeżeli moja skłonność do Gracji miłą była wodzowi, to dlatego jedynie, że on sam czuł żywą sympatię do przybyszów z Ziemi. Wyobraźnia jego bardziej, niż innych Trójnożnych, podobna była do wyobraźni jego pradziadów. Nasze przybycie (powiedział mi to później) obudziło w nim praojcowe wspomnienia, które Przyszłość i Możliwość oblekły w dawno już zgasły czar.

Tego wieczoru zapytał mnie:

— Czy nasze niebo jest równie piękne, jak wasze?

— Nocą jest ono nieporównanie piękniejsze— odparłem—niema u nas nic podobnego do tych istot świetlnych, które mkną pod srebrzystymi gwiazdami, gwiazdami, które płoną blaskiem, silniejszym, niż nasze. Noce wasze byłyby jeszcze cudniejsze, gdyby tu

było nieco cieplej, tak, jak to się dzieje u nas latem nawet w krajach o srogich zimach.

— Te ciepłe noce są zapewne precudne...

— Tak, mają one dużo uroku.

— A dni wasze?

— Uważam, że są piękniejsze, ale wy, być może, nie lubilibyście ich wcale. Roślinność gęsta i barwna okrywa kwieciami wzgórza i doliny, z kwiatów tych, niemal tak cudnych, jak wasze towarzyski, wyrastają później inne rośliny... Trzy czwarte Ziemi pokryte są wodami, które płyną i falują. Chwile, zwiastujące dzień, chwile, które noc przynoszą, mają czar większy u nas, niż na Marsie.

— Jesteśmy niczem — rzeki, a jego przepiękne oczy zaćmił smutek.—O ileż krócej trwać będzie życie naszego globu, niż życie waszej planety. Miał już wiek złoty... a przecież praojcom naszym nie było nigdy dane szybować w przestworach Nieskończoności... Glob nasz, zbyt mały i zbyt odległy od słońca, nie osiągnie nigdy tego stopnia rozwoju, co Ziemia!

— To dziwne... Przecież życie u nas na Ziemi przejawia się pod jedną postacią, podczas gdy u was pod trzema!

— Za czasów Wielkiej Potęgi pradziadów naszych istniało życia tylko pod jedną postacią! Mimo wszystkich bowiem różnic życie poczęło się u was w ten sam prawie sposób—i sądzę, że z kolei i ono przejawia się w mnogich postaciach, gdy rozpocznie się upadek człowieka... Rozumując logicznie—zwielokrotnienia postaci istnienia nastąpi bardziej niespodziewanie na Ziemi, niż tu!

Patrzając na tych ludzi, pomyślałem sobie raz jeszcze, że inteligencja ich wyższa była od naszej...

— Nie rozumiem—rzekłem—jak mogliście, wy, obdarzeni tak głęboką inteligencją, wyrzec się wszelkiej myśli twórczej.

— Nie wyrzekaliśmy się jej dobrowolnie. Trzeba było niezmiernego czasu, niezliczonych daremnych prób, by zginęły w nas zdolności twórcze,

— A jednak tak łatwo pojmujecie rzeczy, zupełnie obce waszej cywilizacji.

— Tak, rozumiemy je dobrze, sądzą, że mogliśmy nawet nauczyć się wszystkiego tego, co umiecie wy—ludzie. Ale my nie umiemy wysnuwać nowych pojęć ze starych wyobrażeń ...nie potrafimy już... i zatraciliśmy ku temu wszelkie upodobanie. Wydaje się to nam tak bezcelowe! Być może, to właśnie było przyczyną nieszczęścia... wróciła się nam owa ostrożna, przenikliwa oględność, nieoceniona—dla ludów młodych, zgubna — dla narodów przeżytych. Po tyśiąckroć lepiej nie myśleć o przyszłości, a zanurzyć się całą istotą w chwili teraźniejszej; cierpimy wtedy tylko, gdy zagrażają nam istoty niższe. A tymczasem od chwili waszego przybycia coś we mnie nurtuje, jakieś dziwne pragnienie odnowy... pęd ku życiu, bardziej pełnemu, bardziej potężnemu!

Dorzucił paliwa do ogniska i znieruchomiał w głębokiej zadumie.

IX

Klęska

W ciągu czterech następnych dni rozszerzaliśmy krok za krokiem oczyszczaną strefę; mieliśmy już w swym posiadaniu tysiąc ośmset hektarów, wliczając w to obszar, zdobyty na samym początku; musieliśmy jednak pewien czas zaczekać, nie dlatego, żeby zapasy energii znacznie się zmniejszyły—łatwo je bowiem można było odnowić—ale dlatego, że należało utrzymać odpowiednią zaporę z promieni.

Wyteżyliśmy wszystkie siły na wykonanie akumulatorów obronnych. Cztery takie aparaty, ustawione obok siebie, wysyłały energię promienistą nakszałt rozwiniętego wachlarza na przestrzeni jednego kilometra, pozostawało jednak jeszcze pięć kilometrów, nieobronionych niczem, co sprawiało nam wiele kłopotu podczas nacierania na wroga.

Postanowiliśmy więc pracować, by uzupełnić nasze środki wojenne, i przez dziesięć dni cały obóz budował aparaty. Na Ziemi nigdy nie zgromadzilibyśmy tylu nowicjuszków, którzy by zdolni byli tak szybko nauczyć się tej trudnej, ciężkiej pracy i tak ją zręcznie umieli wykonywać. W zamian za to znalazło by się wśród mieszkańców Ziemi o wiele więcej inicjatywy. Nasi przyjaciele, nawet najwybitniejsi, nieomal te nie wychodzili poza obręb naśladownictwa: powierzone im obowiązki wykonywali świetnie, byli jednak najzupełniej pozbawieni samodzielności.

Każdy ruch, nadzwyczaj szybko przyswojony, stawał się automatyczny, ale gdy tylko zachodziła jakaś niespodziewana zmiana, musieliśmy iść im z pomocą. Pomimo to sporządzanie aparatów posuwało się o wiele prędzej, niżby to działo się w tych samych warunkach na Ziemi; Trójnożni bowiem dostarczali nam całe szeregi aparatów, ściśle odpowiadających swym pierwowzorom. Po upływie przeszło dwóch tygodni mogliśmy już obronić cały zdobyty przez nas

teren: akumulatory bowiem zużywały słabą energię i wskutek tego można je było z łatwością ładować podglebną energią promienistą.

Gdy już dzięki zupełnej wprawie Trójnożnych praca była w pełnym toku, mogliśmy dokładnie rozejrzeć się w królestwie Zwierzokształtnych. Zarówno w strefach, od dawna już zdobytych, jak i w nowo zagrabionych, zwróciliśmy uwagę na dziwne zjawisko: wszędzie tam nie było ścisłego, wyraźnego rozgraniczenia między życiem zwierzęcem a roślinnym, rozgraniczenia tak znamiennego dla życia na Ziemi, jako też i dla marsyjskiego w obszarach, zajętych przez Trójnożnych.

Wszystkie stworzenia zwierzokształtne czerpią pokarm z gleby, a wyższe z nich są prócz tego „mięsożerne”. Wszystkie one chłoną pokarm całą powierzchnią ciała: nie posiadają żadnego otworu do pobierania pożywienia. Wchłanianie zaś odbywa się na mocy praw osmozy*).

Pokarm organiczny lub nieorganiczny musi wniknąć do ustroju w postaci niezmiernie małych cząstek, by mógł być spożyty. Napastnicy nie zabijają zwykle zdobyczy. Po okresie odrętwienia, kiedy już w zwierzęciu nie zachodzi żadna czynność życiowa, zwierzę odzyskuje znowu swą zdolność ruchu.

Z łatwością udało nam się schwytać istoty zwierzokształtne średnich i mniejszych rozmiarów i zapoznać się z ich anatomją: jednak dotąd jeszcze nie umiemy zdać sobie sprawy z rodzaju i z działania narządów tych istot

Jak już wyżej wspomniałem, budowę wyższych Zwierzokształtnych znamionuje troistość symetrii, gatunki niższe posiadają budowę tak mało zróżnicowaną, jak grzyby lub porosły wodne. Wszyst-

kie one, zarówno wyższe, jak i niższe, zaopatrzone są w liczne wodniczki, ułożone w łańcuszki lub w trójkąty. Przypuszczam, że wodniczki te odgrywają pewną rolę w krążeniu ustrojowym i w odżywianiu organizmu.

Wobec braku jakiegokolwiek płynu krążenie polega tu bez wątpienia na ruchu mikroskopijnych cząstek: udało nam się dostrzec pod ultramikroskopem na niektórych wiwisekowanych Zwierzokształtnych drgania i prądy cząstek—prądy, przypominające krążenie krwi i soków roślinnych.

**) Wyniki badań nad Zwierzokształtnymi i obszerny wykład hipotez o ich budowie będą staraniem moim ogłoszone.*

Początkowo sądziliśmy, że niektóre ze Zwierzokształtnych przytwierdzone są do gleby: myliliśmy się jednak; wszystkie te stworzenia poruszają się, ale osobniki niższych gatunków zdolne są do ruchu dopiero po dłuższych przerwach, to jest wtedy, kiedy już wyczerpały wszystkie zasoby pożywienia, nagromadzone w miejscu, gdzie się były umocowały.

Splaszczone ciała Zwierzokształtnych wskazują, jak sądzę, że potrzeba im dużej powierzchni, by mogły łatwo wchłaniać służące im za pokarm części stałe ciał żywych lub martwych. Jest to tem prawdopodobniejsze, że z powietrza czerpią bardzo niewiele; gleba natomiast musiała od początków powstania Zwierzokształtnych odgrywać dominującą rolę w ich życiu; nie zapuszczały w nią korzeni, nic tedy dziwnego, że rozpościerały się i ściśle przywierały do powierzchni ziemi.

Należy podkreślić, że to spłaszczenie dała jest mniej silnie zaznaczone u Zwierzokształtnych—drapieżców, de wobec tego, że i one przeważnie czerpią swe pożywienie z gleby marsyjskiej—różnica ta nie ma żadnego znaczenia.

Niema u Zwierzokształtnych najmniejszych oznak instynktu społecznego, a nie mówię już tu o tak skryzalizowanym instynkcie, jak u mrówek, termitów, pszczół, ani nawet u os lub bobrów, lecz o najpierwotniejszym—takim, jaki widzimy u wędrownych ptaków, wśród stada żubrów, wśród tłuszczy wilków. Niema też ni śladu istnienia rodzin.

Rozmnażają się poza ustrojem matczynym; chwilami zdaje się, że noworodki powstają z ziemi, tak niewidoczny jest ich zarodek; kiedy są jeszcze prawie niedostrzegalne, posiadają już wszystkie cechy swego gatunku.

Czy można mówić o inteligencji Zwierzokształtnych? Można by raczej powiedzieć, że zdane są na łaskę „tropizmów”, tem różnorodniejszych, im bardziej jest dany osobnik rozwinięty. Szukaliśmy na-próżno jakichkolwiek śladów narządów kierowniczych i poruszających—przypuszczamy, że rolę ich objęły wodniczki, tam bowiem, gdzie powinna być głowa u zwierzęcia ziemskiego czy też marsyjskiego, nie znaleźliśmy żadnego odrębnego organu, jedynie tylko widać było kilka układów wodniczek, wewnątrz których porusza się z olbrzymią szybkością mnóstwo małych cząstek.

Co do wodniczek, ułożonych w łańcuszki i połączonych przewodami, to wszystko przemawia za tem, że zastępują one nasz układ nerwowy i mięśniowy.

Nic chyba nie jest bardziej dziwaczne, niż ruchy tych płaskich i bezkształtnych istot, które, zda się, na

oślepi suną gzygzakiem tak długo, aż je zatrzyma głód, żer lub niebezpieczeństwo.

Gdy jakie małe stworzenie zwierzkształtne, które nieraz pada ofiarą przemocy, dostrzeże napastnika—zwierzkształtnego drapieżcę, ucieka natychmiast: istnieje dlań bowiem pewne prawdopodobieństwo ratunku, gdyż staje się ono niewidzialne już z pewnej, odległości. Zresztą, czyhanie na łup nie trwa bezustannie, jak w naszych puszczech i sawannach; nawet zwierzkształtni mięsożercy, którzy zresztą żywią się i pokarmem, czerpanym z gleby lub atmosfery, co pewien czas tylko poszukują zdobyczy,

W porównaniu z bytowaniem zwierzkształtnych życie zwierząt i roślin marsyjskich przestało nam się wydawać dziwne. Rośliny tutejsze bowiem mniej czy więcej przypominają jednak nasze rośliny. Wyższe zwierzęta—odpowiadają do pewnego stopnia naszym kręgowcom - i oto w miarę, jak czas upływał, bieg jednych, a lot innych stworzeń, pięć łap czy pięć skrzydeł, wszystko to zaczęło nam się wydawać zupełnie naturalne. Co zaś do mieszkańców wód, obdarzonych pięcioma błoniastymi płetwami, to przypominają one raczej nasze żaby, niż ryby.

We wszystkich tych tworach krążenie odbywa się zapomocą płynu; płyn ten jest jak gdyby krwią, odżywiająca ich ustrój, mimo że krew ta bywa fioletowa, błękitna lub zielonawa; narządy, w których krąży, przypominają nasze żyły i tętnice, a serce zastępują tu trzy, cztery, a nawet, zależnie od gatunku, i pięć worków kurczliwych.

Mają też i otwory gębowe, a mnogie ich oczy są prawdziwymi oczami. Ich narządy trawienne nie różnią się bardzo od narządów wielu zwierząt ziemskich. Z początku, gdyśmy spostrzegali czy to ptaki, czy ryby, czy też wreszcie owady marsyjskie, wydawały się

nam one równie dziwne, jak i zwierzęta. Z biegiem jednak czasu znajdowaliśmy coraz więcej pokrewieństwa między poszczególnymi rodzajami zwierząt, ssakami a ptakami, rybami a owadami. Istniała tu więc ciągłość rodzaju. Mogliśmy zatem porównywać istoty marsyjskie z ziemskimi ustrojami, podczas gdy pomiędzy istotami Ziemi a zwierzkształtnymi istniała zasadnicza różnica, a cóż dopiero mówić o istotach eterycznych!

W końcu i na Trójnożnych zaczęliśmy patrzeć, jak na ludzi, pomimo że wskutek odrębnego rozwoju odbiegli pod niektórymi względami znacznie dalej od ziemskich form życia, niż większość wyższych zwierząt marsyjskich.

Ale ich pionowa postawa, a zwłaszcza ich umysłowość, tak zadziwiająco zbliżona do naszej, ich zdolność do wzruszeń, głębokie uczucie, ich urok niezmierny, a nade wszystko urok ich towarzyszek—zacieśniały coraz to silniejsze związki zażyłości i przyjaźni, dzięki którym stali się naszymi brać-

mi z Drugiej Planety.

Na noc zwykliśmy byli chronić się do „Stellarium”, stojącego w pobliżu obozowiska Trójnożnych. Podczas pierwszych spędzonych tu nocy jeden z nas trzymał straż, ale później poczucie zupełnego bezpieczeństwa skłoniło nas do zaniechania tych ostrożności—i spaliśmy wszyscy trzej tak spokojnie, jak gdybyśmy spoczywali w jakimś ziemskim domostwie.

Trójnożni budzili się zwykle przed nami. Kilkuset z pośród nich, znęconych nowoodzyskanymi pieczarami, zamieszkało w podziemiach, inni zaś przebywali na powierzchni.

Pewnego ranka gwałtowne uderzenia o ściany „Stellarium” porwały nas ze snu. Zewsząd nadbiegali Trójnożni, najwidoczniej wzburzeni; nie mogli, co

prawda, wyrazić głosem nurtujących ich uczuć, ale okazywali je dobitnie gwałtownymi ruchami.

Z chwilą, gdy zobaczyli, że już wstaliśmy ze snu, zaczęli nam dawać ożywione znaki; zrazu mieliśmy natychmiast, że istoty zwierzkształtno przekroczyły zapory promieniste.

— Czy wszystkie zapory?—pytał Antoni, mocno zdziwiony.

— Nie! — odpowiedziało kilku naraz Trójnożnych (znaki, przez nich dawane, nie mieszały się ze sobą, jak słowa) — jedynie od prawej strony— cała chmara napastników. Wielu naszych zginęło.

— Już idziemy!

„Stellarium” wzbiło się natychmiast ponad ład— i wkrótce potem szybowaliśmy nad głowami Trójnożnych. Siedem olbrzymich potworów zwierzkształtnych (największy miał ze sto metrów długości), krążyło wśród trupów porażonych Marsjan. Inni Trójnożni leżeli w wyschlęm korycie rzeki, a na przeciwległym brzegu tysiące naszych przyjaciół wyciągało ku nam rozpacznie ramiona.

Na prawym krańcu niedawno odzyskanego obszaru nie pozostał przy życiu ani jeden z Trójnożnych i to nam pozwoliło szybko przystąpić do natarcia.

...Nie sposób było uderzyć naraz na wszystkie potwory, chwyciliśmy się więc taktyki „cząstkowej”. Po kolei nacieraliśmy na każdego zwierza z oddzielną, a że raziliśmy gwałtowniej, niż zwykle, potwór ratował się szybką ucieczką. Miotając za każdym razem promienie, pięć sekund trwające, zdołaliśmy razić niemi Zwierzkształtnych dwa razy na minutę, A że wiązka promieni padała wciąż w tym samym kierunku, mogliśmy według woli napędzać uciekających w odpowiednią stronę. Zresztą potwory, pędzone bezwładno-

ścią, nie wracały śladem, którym przybyły, ale nawet, gdyśmy zaprzestawali na chwilę rażenia promieniami, biegły tam, gdzieśmy chcieli.

Nie trzeba było nawet kwadransa, by oczyścić pole; potem Jan wyszedł, chcąc zbadać radiatory na prawym krańcu doliny.

— Oś aparatu wychyliła się o kilka stopni w górę — rzekł, powróciwszy — a wskutek tego promienie nie dotykały ziemi... Zwierzokształtne potwory przeszły pod pękami promieni.

— Naprawiłeś? — zapytałem.

— Oczywiście!

— Powinno to być nauczka, abyśmy lepiej ustalali kąt nachylenia- aparatów — rzekł Antoni. — Drobnostka! A teraz dowiedzmy się wszystkiego od naszych przyjaciół.

Podczas tej rozmowy nadbiegł wódz. Wydawał się głęboko wzruszony, drżał jak brzoza na wicherze i dziękował nam gorąco.

— Nie mieliśmy odwagi obrócić żadnego z tych aparatów przeciwko napastnikom — rzekł — gdyż tymczasem mogły wtargnąć inne potwory...

— Bali się dotknąć — szepnąłem, myśląc o ich braku wszelkiej samodzielności.

Tymczasem Antoni, wskazując na porażonych Marsjan, pytał wodza:

— Sądzisz, że nie żyją?

Ciężki, ponury smutek odbił się w spojrzeniu naszego sprzymierzeńca, i rzekł:

— Tak myślę... ale wielu z tych, którzy zdołali się ukryć w rozpadlinach, będzie można uratować.

— Czy macie jakie środki ratunkowe?

— Przeciw temu — nie. Jeżeli śmierć od razu nie powali, wychodzi się prędzej czy później z odre-

twienia... a po kilku godzinach czy dniach stan zdrowia jest zupełnie normalny.

Opuścił głowę i dodał, drżąc całą istotą:

— Moja córka!

Głęboko wzburzony, porwałem się z miejsca, by wyjść ze „Stellarium”.

— Będę ci towarzyszył -- rzekł Antoni.— Trzeba nieść pomoc tym pocziwym niezdarom!...

Nie miałem odwagi zapytać wodza; przerażony, patrzyłem na trupy.

— Niema jej wśród tych oto—powiedział wódz—przebyła, być może, szczęśliwie linję natarcia wrogów.

Wzruszenie moje—o, jakże głębokie!—mieszało się z szaleństwem na samą myśl o tem... Ta mała istota, zawieruszona gdzieś tam—hen w niebiosach, na pyłku czerwono-ognistym, który drga w szarej pomroce pośród gwiazd—lampek oliwnych, ta istota, tak różna od człowieka i wszystkich stworzeń, które go otaczają, ona to dała mi zaznać owych dreszczy, owych smutków, owej dręczącej niecierpliwości, płomiennej nadziei i dziwnej obawy—cały ten dramat miłości i śmierci.

Szedłem tymczasem za wodzem, aż dotarliśmy do brzegu parowu, który był niegdyś rzeką, gdy jeszcze płynęły rzeki w tym skazanym na zagładę świecie ...

Leżały tam, porzucone w nieładzie, ciała Trójnożnych, ze wszystkich stron dążyły tłumy oszalałe, niby mrówki, gnana powodzią. Kilku Marsjan usiłowało nieść pomoc porażonym.

W jednej chwili byłem przy Gracji, znieruchomiałej, bez tchu, zdaje się, skostniałej.

I przed oczami stanął mi ów ranek, gdy odumarła mnie jedyna siostra, ów ranek straszliwy, kiedy

wydało mi się nagle, że wszechświat zapada się w otchłań nicości.

Wódz odgadł moje myśli i rzekł: — Nie umarła!

Nachylony, wpatrywał się uważnie w córkę, i oczy jego, przyćmione posępnym smutkiem, zalśniły nagie żywszym blaskiem. Spokojny już—szedł, niby Wskrzesiciel, oglądać pozostałe ofiary.

Jak długo trwałem przy Gracji? Trudno powiedzieć... Może kilkanaście minut zaledwie, ale chwile te, pełne bezładnych wrażeń, ciągnęły się bez końca. Później przyszli Trójnożni i przenieśli Grację do schronienia, ogrzanego za pomocą radiatorów, podobnych z budowy do broni naszych przyjaciół.

Czas mijał, zwolna uciszał się bezład wrażeń; wierzyłem, że Gracja zdrowa będzie, a wódz, odwiedzając nas, utwierdzał mnie jeszcze bardziej w tej nadziei.

Gdy podnosiła powieki, nieruchomiałem z zachwytu. Jej oczy przepiękne nasuwały na myśl gwiazdozbiory, przesłonięte mgłą oparów, unoszących się jesienią z ponad jezior i stawów, potem jasnym blaskiem trysnęło z nich światło, światło jutrzeńki wschodzącej. Patrzyła na mnie z przedziwną tkliwą słodyczą.

Wreszcie rzekła:

— Potwory już zwyciężone, bo jesteś przy mnie.

— Tak, już je rozpedzono!

Radość jej promieniała, jak woń, płynąca z kwiecistego wzgórza, a w duszy jej powstawały coraz-to nowe uczucia; wyrażała mi je ruchem tak niepochwytnym, tak subtelnym, jakby to było obcowanie dwojga dusz.

Były to chwile, które istoty, porozumiewające się głosem, nazywają milczeniem. Niewypowiedziane myśli mknęły niby tajemniczo ptaki duszy.

Gracja mówiła dalej:

— Szczęśliwą jestem, że widzę cię teraz obok siebie! To twoja obecność uzdrawia mnie! Jestem tak szczęśliwa, że zrozumieć tego nawet nie możesz.

Na te słowa ogarnęło mnie nieznanne wzruszenie.

— I ja również—rzekłem — jestem niezmiernie szczęśliwy... szczęściem tak dziwnym, jak dziwny jest pierwszy świt w życiu.

Pochyliłem się ku niej, ramiona nasze spotkały się nagle, a Gracja otoczyła łagodnie mą szyję. I doznałem wtedy jakby błysku wrażenia, które przewyższało wszystkie ludzkie uczucia...

W tej chwili wszedł wódz w towarzystwie Antoniego.

— Niebezpieczeństwo minęło—rzekł.— Do wieczora Gracja odzyska siły.

A gdy Anioni i ja spojrzeliśmy na niego pytająco—odpowiedział.

— Tak zawsze bywa, w takich wypadkach powraca się do zupełnego zdrowia.

I nie omylił się. Następnego dnia Gracja nie odczuwała już żadnych niedomagań. Widywałem się z nią codziennie, nawet wtedy, gdy znowu zawrzała walka. Doprowadziliśmy wkrótce tę wojnę do końca. W międzyczasie bowiem zbudowaliśmy wiele aparatów promienionośnych, i aby zapobiec skutkom niezaradności Trójnożnych, przewidzieliśmy wszystko, co się tylko mogło zdarzyć, i z drobiazgową dokładnością wyjaśniliśmy im, co mają czynić w każdym poszczególnym wypadku.

Znali już teraz dobrze metody wyrabiania broni promienionośnej, a jak już wyżej wspomniałem, swą zręcznością, bystrością i ścisłym wykonaniem przewyższali nas znacznie. Postanowili zatem zbudować

pewną ilość aparatów, których by starczyło do obrony granic.

— Nauczmy naszych sąsiadów, czegośmy się od was byli nauczyli—mówił wódz w dniu, w którym przygotowywał się, by odwieźć broń do ojczystych stron.—Tamci zaś nauczają innych. Powoli, powoli wiedza wasza uchroni plemię nasze od napaści... Wysłańcy Ziemi wybawią swych nędznych braci z Marsa.

ZAKOŃCZENIE

Dni upływały. Poznaliśmy i inne gromady Trójnożnych. Na obszernej równinie rozstawiliśmy znaki świetlne, tak liczne i silne, że musiano je dostrzec z Ziemi. Pewnej jasnej nocy przesialiśmy pierwsze sygnały systemem kresek i kropek, który przekazali nam ludzie zeszłego stulecia; system ten tak jest doskonały i prosty zarazem, że wszelkie najsubtelniejsze odcienie mowy ludzkiej można przy pomocy jego wyrazić na tyleż sposobów, ile jest zmysłów i postaci energii.

Zrozumiano nas natychmiast, gdyż sygnalizowaliśmy w sposób, używany na Ziemi, Odpowiedziano nam z dziesięciu stacyj radjowych; otrzymaliśmy z Ziemi nowiny tak świeże, jak te, które się podaje za pomocą fal z miasta do miasta, od lądu do lądu. Antoni i Jan otrzymali gwiazdo-radjogramy od rodzin, ja zaś, który utraciłem wszystkich swych bliskich, odebrałem serdeczne pozdrowienia przyjacielskie.

Wyprawa nasza wzbudziła szalony podziw i uniesienie na całej Ziemi. Wszystkie dzienniki sławiły „Lot

w Nieskończoność", jako największe wydarzenie stulecia, a niektóre głosiły nawet, że jest to największe wydarzenie w dziejach ludzkości...

Skłonność moja do Gracji wzmogła o jeszcze bardziej. Widywałem się z nią codziennie, a uczucie moje było tak dziwne, że bałem się nad niem głębiej zastanawiać.

Jak nazwać, jak określić ten słodki dreszcz, tę cudną ogarniającą mnie falę?

Nic w mej ziemskiej wędrówce nie przypominało tego wrażenia. Myśl, że mogłaby to być miłość w ziemskim znaczeniu tego słowa, wydawała mi się niedorzeczna, a nawet wstrętna. Usnęły we mnie nasze ludzkie, nędzne żądze, a przebudzenie się ich tu, przy Gracji, napęłniłoby mnie niesmakiem i wstydem.

A przecież, gdy byłem przy niej, nurtowały we mnie jakieś dziwne pragnienia, za każdym jej muśnięciem spływała na całą mą istotę ta precyzyjna, zachwyty pełna słodycz, której doznałem w dniu jej wyratowania od śmierci. Byłażby to pomimo wszystko—miłość? Jeżeli tak, to jest ona tak obca naszej, zaiste, pożalowania godnej miłości, jak Gracją obca jest kobiecie ziemskiej...

Nie mogłaby miłości tej wyrazić żadna mowa, nie zrozumiałaby jej i Gracja, to leż radowałem się głęboko, że mogę żyć tą miłością, że razem błądzimy wśród lasów i nad brzegiem jezior milczących, w podziemnych głębokościach.

Przybyliśmy raz pewnego do wielkiej pieczary, gdzie berylowe błyski wstawały z szarej ziemi i ślizgały się po ścianach skalnych. Legenda o Marsie wryta była na głazach, legenda o tych czasach odwiecznych, kiedy młoda planeta stwarzała na swym globie pierwsze żywe istoty.

Siedliśmy na pradawnym głazie, który ongi dał może początek niezliczonym żyjątkom, a teraz trwa tu jeno złom stary a smutny, i drgają w nim, i krążą bez końca—ukryte siły.

I tu uczułem z olśniewającą pewnością, że Gracja jest mi droższa ponad wszystko, i nie mogłem się powstrzymać, by jej tego nie powiedzieć.

Zadrżała, jak liść na wietrze, jej cudne oczy za-
błysły blaskiem czarującym, pochyliła lekko głowę na me ramię... Wtedy... któż zdoła to opisać!... Uścisk, uścisk tak nieskalany, jak uścisk matki, obejmującej swe dziecko, a wszelkie niegdyś doznane szczęście wydało mi się zwiędłe i marne; owionęła mnie radość bezmierna, z wichrem nagle przybyła, woń wzgórz, urok zorzy porannej i boskich ułud zmierzchu, owionął mnie czar kobiecego piękna, na skrzydłach wiatru przybyła baśń o kobiecie, przez długi ciąg tysiącoleci tworzona—wszystko to w chwili, gdy świat cały szalał przed memi oczyma. I nic już nie było poza tem jed-
nen... Wszystko znikało, rozpływało się, przesłonięte tym cudem wszechpotężnym, który zdał mi się cudem Tworzenia.

J. H. Rosny

starszy z Akademji Goncourt'ów.

Przypisek wydawcy.

W chwili, gdy oddajemy niniejszy rękopis do druku, dowiadujemy się, że doszła do skutku druga wyprawa „Stellarium” i że bajeczni wędrowcy odnaleźli

swoich przyjaciół z Drugiej Planety. Sprawozdanie ze spostrzeżeń i badań naukowych wkrótce się ukáže. W ślad za tem ogłoszony będzie opis drugiej wyprawy, tym razem przesiany bezpośrednio z Marsa.